ŚWIATOWID

20 KWIETNIA 1935 R.
NUMER ZAWIERA
32 STRON DRUKU
CENA 60 GR.
W CZECHOSŁO-
WACJI Kc. 2·20.
nr. 16



Wesołego
Alleluja!

Wszystkim Przyjaciołom, Czytelnikom i Współpracownikom naszego pisma zasyła redakcja „Światowida“ życzenia

WESOŁYCH ŚWIĄT



FELJETON WIELKANOCNY

NA ŚWIĘTO ZMARTWYCHWSTANIA

Gdy na wystawach sklepowych pojawiają się różne zajączki i kurczęta z cukru, materjału czy drewna, a w ogrodach drzewa pokrywają się pierwszą zielenią, ziemia zaś świeżo rozkopana wydaje swój odwieczny, silny i tak pokrzepiający zapach, ogarnia ludzi jakiś niewytłumaczony optymizm, jakieś wzruszenie, jakaś radość, pomimo, że nic właściwie w ich życiu się nie zmieniło. Kiedy człowiek patrzy się na niebo, bardziej pogodne i zdawałoby się bardziej przychylne dla niego niż podczas zimy, jakaś tęsknota odwieczna opanowuje jego serce, tęsknota za życiem, za zniszczeniem jego marzeń. W takich chwilach nawet najpoważniejszy człowiek staje się dzieckiem, a dusza jego prostą, nieskomplikowaną, szczerą. Wiosna i święta Wielkiej Nocy, to wieczne misterjum odmładzające człowieka, przychodzące z regularnością zegarka, podobne do jakiejś gigantycznej wskazówki, posuwającej się powoli ale systematycznie na przeolbrzymim zegarze Czasu.

Świat zamiera pod śniegiem, lecz znów budzi się na wiosnę, człowiek zamiera w kłopotach, troskach, smutku, lecz odżywa znów przy pierwszym promieniu słonecznym, oto wiecznie powtarzające się zjawiska, których wspaniałym symbolem jest Zmartwychwstanie Pańskie, święta Wielkanocne. Znamionują one tęsknotę człowieka za życiem, tęsknotę, która nie daje się zrazić tem, że na końcu tej ścieżki życiowej czeka go jednak ciemny grób, nie zrażającą się tem, że życie ludzkie jest nieraz pasmem udręk i trosk. Tęsknota ta jest silniejsza niż wszystko, jest wielka, jak nadzieja, potężna jak wiosenne wichry, oszałamiająca, jak z łoskotem uderzające o skały fale morskie. —



Wszystkie też ludy świata, od najbardziej cywilizowanych do najprymitywniejszych, świętują budzące się życie w naturze, oddają hołd słońcu, silniej błyszczącemu na niebie, cieszą się wiosną, młodemi kwiatami i zielenią. Ileż takich symbolów zmartwychwstania od tysięcy lat znamionuje ten okres! Zacząwszy od bociana, będącego również symbolem dziecka, tej zapowiedzi przyszłego rozwoju i szczęścia, skończywszy na baziach, będących pierwszemi płodami odmładzającej się natury, wszystko wyraża to wieczne dążenie człowieka do życia, do szczęścia i słońca!

Jak daleko już sięgnąć okiem, wszędzie ludzie obchodzą święto wiosny, bez względu na religję, rasę, szerokość geograficzną. Tem silniejsze jednak jest to uczucie u chrześcijan, że symbol wiosny łączy się z życiem Chrystusowem, ze zwycięstwem Zbawiciela nad materją, nad śmiercią. Święto religijne kojarzy się tu harmonijnie z uczuciami, które od prawieków władną ludzkiem sercem.

Jan Maleszewski.

POLSCY BOŻOGROBCY.



MIECHÓW. Kościół farny, do roku 1852 klasztor Bożogrobców.



Podwójny krzyż Bożogrobców, umieszczony na murze zewnętrznym kościoła w Chełmie.



Zakrystja kościoła parafjalnego w Chełmie (powiat Bochnia), który wzniesiono na miejscu klasztoru Bożogrobców.

Kanonicy regularni grobu Chrystusowego, zwani w Polsce Bożogrobcami, albo Miechowitami, od Miechowa, gdzie najpierw u nas zostali osadzeni, mieli powstać już za Godfryda w Jerozolimie. Regułę ich zatwierdził w 1144 r. papież Celestyn i oddał pod zwierzchnictwo łacińskiego patrjarchy jerozolimskiego. Obowiązkiem ich było strzeżenie grobu Chrystusowego i usługiwanie oraz doglądanie chorych pielgrzymów, przybywających do Ziemi Świętej. Po zajęciu Ziemi Świętej przez Saracenów w 1187 r. Bożogrobcy emigrują do Europy, zakładając główne klasztory w Szkocji i Irlandji. Bożogrobcy nosili podwójny czerwony krzyż, przyszyty na lewym boku sukni duchownej, a na szyji złoty krzyż na łańcuchu. Generał Zgromadzenia miał przywilej mianowania członków świeckich, bez względu na ich pochodzenie, stróżami Chrystusowego grobu. Otrzymywali oni prawo noszenia podwójnego krzyża na wstążce, czyli t. zw. orderu miechowskiego.

Pierwszy ich klasztor w Polsce ufundował Jaksa z rodu Gryfitów, który wyprawił się do Palestyny z Henrykiem księciem sandomierskim. Pierwszym Bożogrobcem, przywiezionym przez Jaksę z Jerozolimy, był niejaki Marcin, który w 1162 r. za pozwoleniem Bolesława Kędzierzawego wprowadził nowozałożony zakon do klasztoru miechowskiego. — Z pierwotnego kościoła i klasztoru nie pozostało ani śladu, gdyż uległ on zniszczeniu przez Tatarów. Zachowały się tylko szczątki wieży, której fundamenty położono w r. 1293. Po odbudowie kościół ulega pożarowi w 1379 r., w 1408 r., w 1506 r., w 1732 i w 1746 r. Po tym ostatnim pożarze odbudowa świątyni trwała prawie 60 lat i ukończona została częściowo w 1802 r.

Największą osobliwością kościoła w Miechowie była kaplica grobu Pańskiego, odtworzona ściśle wedle Jerozolimskiej. Odnowiono ją w 1880 r.

Kasata klasztoru Bożogrobców w Miechowie następuje w 1819 r. Ostatnim proboszczem Miechowitą jest Baltazar Chwalikiewicz, który zrezygnował w 1852 r. Odtąd rządcami parafji są księża świeccy.

Klasztory Bożogrobców były rozsiane po całej Polsce. I tak już w 1165 r. osiedlili się oni w Chełmie pod Bochnią, w 1169 r. w Skaryszewie na Mazowszu, w 1214 roku w Uniejowie, w 1243 r. w Gnieźnie, w 1300 r. w Bytomiu, w 1320 r. w Wyszogrodzie nad Wisłą, w 1323 r. w Rypinie, w 1351 r. na Stradomiu koło Krakowa (dziś klasztor Bonifratrów), w 1396 r. w Przeworsku, w 1400 r. w Leżajsku itd.

* * *

Jest ciepły, kwietniowy poranek. Auto redakcyjne mknie przeokropną drogą w stronę Wieliczki. W Kłaju skręcamy na prawo, kierując się przez Targowisko do Chełmu. Chcemy zobaczyć dawny klasztor Bożogrobców. Wydostawszy się na gościniec gdowski, wjeżdżamy w wąską drożynę, która prowadzi nas na wyniosłą górę, na szczycie której wznosi się skromny kościółek ze staroświecką zakrystją, pamiętającą czasy gotyku.

Na ścianie kościoła widnieje charakterystyczny krzyż Bożogrobców i data 1745 r. Widok stąd przepiękny, na dolinę rzeki Raby, która wzgórze chełmskie z trzech stron okala, oraz na Puszczę Niepołomicką.

Próbujemy dostać się do kościoła, ale wysiłki nasze są daremne. Dziwnym zbiegiem okoliczności nie zastaliśmy ani proboszcza, ani wikarego, ani kościelnego, ani wreszcie organisty.

(Ciąg dalszy na str. 4-ej)

POLSCY BOŻOGROBCY.



Kościół parafjalny w Chełmie.

(Ciąg dalszy ze str. 3-ej).

— Teraz dużo roboty — tłumaczy mi jakaś kobiecina — jegomoście pojechali na spowiedź wielkanocną.

Z pobliskiego dachu spoglądają na nas dwa bociany, klekocąc poważnie. Za murem kościelnym chłop orze rolę. Wdajemy się z nim w pogawędkę.

Aż dziw bierze, jaki oczytany. Zna świetnie historję polską. Wskazując na pobliskie wzgórze, mówi:

— Tam pochowany jest pewien chan tatarski, którego wzięto do niewoli i prowadzono do zamku do Wiśnicza. Ale w drodze umarł on i tam na wzgórzu złożono go do grobu. Przed trzema laty jakiś profesor badał ten grób. Ja sam na swojem polu znalazłem staroświeckie strzemię rycerza polskiego.

— Macie to strzemię?

— A gdzieś było, poszukam.

Chłop szuka, ale nie znajduje.

— Gdziesik się zatraciło.

Rozmowa nasza schodzi na tory więcej bieżące. Rolnik żali się, że w roku ubiegłym powódź zniszczyła wszystkie plony i że dotąd nie przyznano mu Krzyża Niepodległości, choć urgował nieskończoną ilość razy.

Ostatni raz rzucam okiem na skromny kościółek w Chełmie. Przy kruchcie stoi wbity wielki, dwuramienny krzyż Bożogrobców, pokryty rdzą i patyną wieków. Stare drzewa puszczają pierwsze pączki, a z gotyckiej zakrystji wychyla się majestat wieków, które tu się wcieliły w kawał historji.

L.



Dzwonnica w Chełmie.



Widok na wzgórze koło kościoła w Chełmie, gdzie wedle legendy ma być pochowany chan tatarski, wzięty przez rycerstwo polskie do niewoli.

NA SZLAKACH PRZYJAŹNI POLSKO-FRANCUSKIEJ.

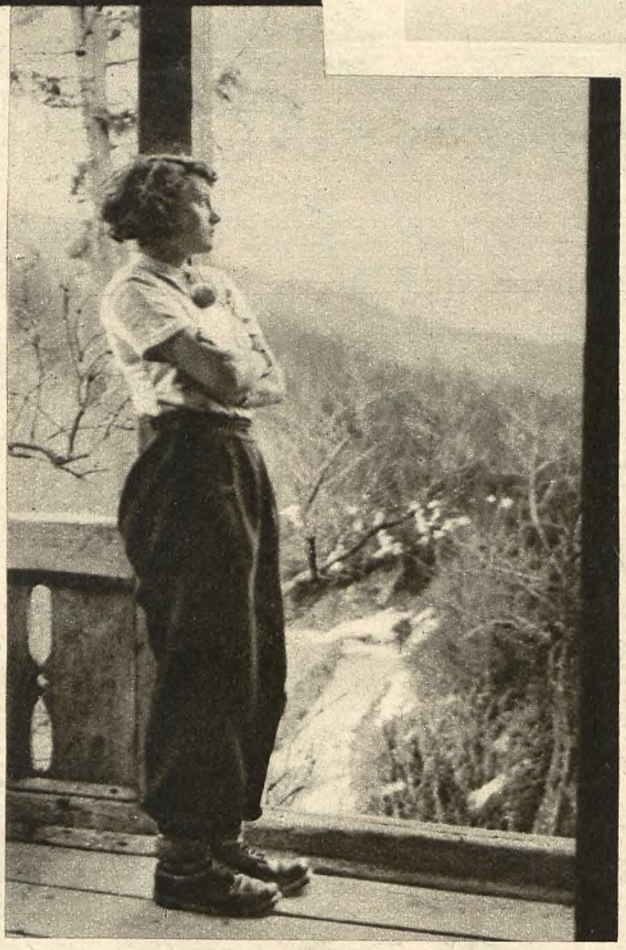


W Paryżu na posiedzeniu Towarzystwa Przyjaciół Polski jury przyznało nagrodę w kwocie 5.000 franków p. M. Francastel, mieszkańcowi Warszawy za jego książkę p. t. „Polska malownicza" (propagującą zbliżenie polsko francuskie). Na zdjęciu widzimy członków jury. Po prawej: pp. Jan Lechoń, Rosa Bailly i J. H. Rosny, po stronie przeciwnej pp. Fortunat Strowski, Jules Romain i Gaston Rageot. *Photo NYT, Paris.*

POŻEGNANIE ZIMY.



Ostatki narciarskie na Pilsku (powiat Żywiec).



Pierwszy powiew wiosny... Zdjęcie z Doliny Lesanicy w Beskidach żywieckich. *Fot. R. Górski, Katowice.*

Walka trwała do upadłego. Zima nie chciała żadną miarą ustąpić. Ofensywy wiosny załamywały się na oporze jej mrozów i śniegów. Gorące podmuchy halnego wiatru brał w swoje ramiona syberyjski wicher i zamieniał na lodowy wiew.

Narciarze, którzy już... już mieli odkładać deski na zimowe leża, cieszyli się jak dzieci, że jednak ich czas nie skończył się, że jeszcze mogą uprawiać biały sport i żyć złudą wiecznej zimy. Ale prawa przyrody są żelazne i nieodmienne. Biegu planet nie wstrzyma żadna siła. Skapitulowała więc i zima i schroniła się do zacisznych zakątków Tatr, aby tam wegetować jeszcze przez kilka tygodni.

A tymczasem słońce świeci coraz silniej...

Na progu schroniska w górach stanęła młoda dziewczyna i patrzy w dal. Przed oczyma jej zjawia się jakiś inny świat: zielony i roześmiany. I ten świat bierze ją w swoje ramiona, składając na jej czole pocałunek wiosny. Bo wiosna wkroczyła już triumfalnie na ziemię...

WARSZAWSKI BIEG NAPRZEŁAJ.



Dnia 14 b .m. odbył się w Warszawie w parku im. Sobieskiego bieg naprzełaj młodzieży szkolnej na dystansie 2.500 m. o puhar Kuźni Młodych. Zwyciężył w doskonałej formie Zbigniew Pomorski w czasie 8.40 min. a drużynowo zespół szkoły im. Rejtana. Na zdjęciu uczestnicy biegu na trasie.

WSCHODNIO-PRUSKI RAJD AUTOMOBILOWY 1935.



Auta, które ugrzęzły w rozmokłej polnej drodze.
Scherl.

W Prusach Wschodnich odbył się rajd automobilowy i motocyklowy, w którym wzięło udział 454 pojazdów. Trasa obejmowała nietylko drogi bite, ale także polne i leśne, na których wozy grzęzły po osie, n. p. na odcinku z Olsztyna do Sienken. Zaraz w pierwszym dniu jazdy odpadło 132 wozów, które nie mogły podołać ciężkim warunkom terenu. Większość jednak wozów zdała egzamin doskonale, obsady ich jednak musiały pracować z nadludzkim wysiłkiem, aby auta wydobyć z roztopów wiosennych.



W błocie po osie, na drodze polnej w okolicach Olsztyna.
Keystone



NAJPIĘKNIEJSZA TWARZ CHRYSTUSA.

W pierwszych wiekach chrześcijaństwa przedstawiano Chrystusa jedynie pod symboliczną postacią Baranka. Mniejwięcej w VIII-ym i IX-tym wieku pojawia się w sztuce kościelnej Chrystus, jako władca i pan, siedzący poważnie na tronie i królujący światu. Ma On twarz okoloną brodą, długie włosy i szaty monarsze. Takie ujęcie ikonograficzne odpowiadało tradycjom i poglądom ówczesnego cesarstwa bizantyńskiego. W tych czasach nie przedstawiano także nigdy Chrystusa na Krzyżu.

Przez długie wieki trwały spory teologów na temat, jak właściwie wyglądał Chrystus, czy Męka pozostawiła ślady na Jego twarzy, czy też nie? W epoce gotyku króluje naturalizm, Chrystus wówczas przedstawiony jest jako Męczennik. Ze zmianą pojęć w epoce renesansu zmienia się i postać Chrystusa w sztuce. Staje się On pięknym młodzieńcem, pełnym powabu i boskości. Szczytowym wizerunkiem tego rodzaju jest twarz Chrystusa z „Ostatniej Wieczerzy" Lionarda da Vinci, uchodząca za najpiękniejszą twarz Chrystusa. I rzeczywiście nikt przedtem, ani potem nie oddał w sposób tak prosty, a jednak niedościgniony wyrazu twarzy Boskiego Odkupiciela. (Patrz reprodukcja powyżej).

JEROZOLIMA I JEJ RELIGJE.

J e r o z o l i m a, w kwietniu.

Palestyna współczesna przedstawia pod względem religijnym prawdziwą mozaikę: widać ją nietylko w urzędowych statystykach, ale i w pojedyńczych sanktuarjach; Grota Betlejemska i Bazylika Grobu Chrystusa są tego wymownym dowodem.

W Palestynie mieszkają trzy grupy religijne: mahometańska, żydowska i chrześcijańska. Wszystkie widzą tu swą kolebkę i pragną czuć się u siebie: stąd zazdrosna rywalizacja, a nawet zacięta walka o każdą piędź ziemi, każdy filar, lub przywilej!

Najmniej wyznaniowo podzieleni są tutejsi mahometanie, w większości należący do zachowaczej sekty sunnitów. Uproszczony dogmat, złagodzone wymagania etyczne, ograniczony ideał religijny i życiowy fatalizm sprawiają, że mahometanin jest spokojny, pogodny, mało wymagający, ale przytem fanatycznie niedostępny dla obcych sobie wpływów.

Jego praktyki religijne ograniczają się do pochwalenia Allaha na pięciokrotne wezwanie śpiewne muezina — do surowego trzydziestodniowego postu (Ramadanu), spożycia baranka na święto Ofiary (Korban), wreszcie pielęgnowaniu 2 pragnień: zobaczenia za życia Mekki, a po śmierci Mahometa i raju, gdzie będzie obfitość tego, czego mu tu zakazano (wina). „Allah jest wielki i niema Boga innego nad Allaha! A Mahomet jest jego Prorokiem! Módlcie się, modlitwa bowiem więcej warta nad sen!“ Słysząc te słowa, zdejmuje poczciwy muzułmanin swe obuwie, rozciąga na ziemi dywanik lub płaszcz, poczem zwrócony w stronę Mekki, pozdrawia najpierw swych dwu aniołów stróżów, dmuchnie nieżyczliwie w stronę szatana, potem przyłoży dłonie do uszu, by słyszeć głos Allaha, i upadając kilkakrotnie na kolana, a nawet na twarz, szepce słowa Koranu...

Mahometanizm, na czele którego stoi Wielki Mufti Jerozolimy, przeważa po wsiach; w wielu miastach jest prawie wyparty przez inne wyznania, jak np. w Jaffie, Nazarecie, Haifie, Tyberjadzie, Betlejemie.

II.

Religja mojżeszowa występuje w Palestynie we wszystkich odłamach i sektach; przy murze płaczu spotykają się one co szabat, płacząc prawdziwemi łzami nad upadkiem narodu. Choć rasowo jednolici, nie czują się tu jednem: Aszkenazim, grupa żydów północnych niechętnie patrzy na Sefardyjczyków, przedstawicieli wygnańców z krajów północnych, na żydów marokańskich, jemenickich, algerskich, perskich, różniących się już nietylko strojem, ale i sposobem życia!

Z pomniejszych sekt wymienić trzeba sympatycznych obywateli naszych Trok, karaimów, którzy w braku dziesięciu osób nie mogą odprawiać nabożeństwa w swej ubożuchnej jerozolimskiej synagodze! Obok nich modlą się całemi dniami Hasydzi, utrzymywani w tym celu przez żydowskie stowarzyszenia. — Każda z tych sekt ma w dzielnicy żydowskiej Jerozolimy osobną synagogę; w każdej z nich znalazłem jednak w sobotę zaledwie po kilka osób!

O życiu żydów w Palestynie można już dziś pisać tomy, jeżeli jednak chodzi o ich religijną charakterystykę, duch czasu poczynił w tej dziedzinie wielkie spustoszenia. Szabat przestrzegany jest z całą zewnętrzną surowością w 100-procentowem mieście żydowskiem, Tel-Aviwie, ale kto był np. w piątek wieczorem w sąsiedniej arabskiej Jaffie, lub w Jerozolimie, ten musiał zauważyć tłumy żydów w niekoszernych restauracjach, słuchających muzyczki.

Osobno wspomnieć trzeba o nielicznej a wrogiej żydom, wymierającej już osadzie Samarytan w Nablus, u stóp ich świętej Góry Garizim. Przechowują tam oni jedyną swą księgę kanoniczną, mojżeszową Torę, w starym języku pisaną. Zachowali oni po dziś dzień zwyczaj zabijania co pewien czas baranka paschalnego. Do chrześcijan odnoszą się bardzo nieprzychylnie. Ponieważ żenią się tylko między sobą, grozi im wymarcie.

III.

Wyznania chrześcijańskie dzielą się ze względu na swój stosunek do Rzymu na unickie i innowiercze. Do t. zw. innowierczych (ortodoksyjnych lub schizmatyckich) należą przedewszystkiem:

1) G r e c y, którzy od czasów Bizantyńskich przetrwali wszystkie burze dziejowe, a od XI. w. zerwawszy z Rzymem, gospodarzyli tu na własną rękę. Grecki patrjarcha Jerozolimy ma przy boku senat, złożony z 12 biskupów i arcybiskupów, oraz licznych przełożonych t. zw. arcybractwa Grobu św. Wielu Arabów przyjęło ich wyznanie. Przy przejściu na katolicyzm (co się ogromnie rzadko zdarza) wymaga się w Palestynie jedynie uznania zwierzchnictwa Ojca św.

2) Druga grupa innowierczych chrześcijan w Jerozolimie, to A r m e ń c z y c y (Ormianie niekatoliccy) od ich głównego Apostoła Grzegorza także Gregorjanami zwani. Zerwawszy z Rzymem w V w. przez przyjęcie błędu monofizytów, należą do najbogatszych i najbardziej wpływowych w Jerozolimie. Patrjarcha ich rezyduje na Sionie, kler przeważnie zakonny, żyje w celibacie. Mają osobne pismo i język. Obecnie gmina armeńska wzrosła znacznie wskutek wydalenia armeńczyków przez rząd turecki.

3) Te same różnice religijne posiadają s y r y j s c y J a k o b i c i, wywodzący się od Jakóba Baradai, który ich w VI w. zorganizował. W Jerozolimie mają kilkudziesięciu wyznawców i jednego biskupa.

4) K o p t o w i e, reszta dawnego wielkiego Kościoła Egiptu, teologicznie także monofizyci, mają niewielką gminę w Mieście św. Zbliżeni są bardzo do nich:

5) A b i s y ń c z y c y, mający w Jerozolimie nawet osobnego konsula. Można ich widzieć klęczących pobożnie i zaczytanych w swych hieroglifach na schodach kościoła Grobu N. M. P., lub koło 9 stacyj Drogi Krzyżowej.

6) P r a w o s ł a w n i R o s j a n i e, osiedleni tu przed wojną, wznieśli na Ziemi św. liczne cerkwie i szkoły ,obecnie wegetują, czerpiąc dochody z wielkich dawnych majątków. Wreszcie

7) P r o t e s t a n c i, powstali po dokonanym podziale sanktuarjów w Ziemi św., zaczęli tu szukać punktów oparcia dopiero w XIX w. Powstały liczne instytuty (dla nawracania żydów) szkoły: osiedlili się tu metodyści (YMCA), adwentyści, kwakrzy, anglikanie itp., są jednak bardzo nieliczni.

IV.

Chrześcijanie r z y m s k o k a t o l i c c y na skutek schizmy musieli powoli zdobywać utracone pozycje. Od wypraw krzyżowych jedynymi strażnikami Ziemi św. byli OO. Franciszkanie, stąd tytuł Kustosza Ziemi św., jaki przysługuje przełożonemu palestyńskiej prowincji. Kiedy w r. 1847 stworzono patrjarchat łaciński, a po objęciu nad Palestyną mandatu przez Anglję Papież mianował na Ziemię Świętą swego delegata, warunki współpracy trzech przedstawicieli Kościoła rzymskiego na tym terenie musiały się nieco skomplikować, co zresztą nikogo nie zdziwi.

Obecny patrjarcha, Alojzy Barlassima, ma do pomocy około 1600 osób duchownych, w tem ponad 50 różnych zgromadzeń zakonnych (Polskie Elżbietanki), kler w połowie tubylczy, w połowie z Europy. Wiernych liczy patrjarchat wedle ostatnich obliczeń w Palestynie 16.120, w Zajordanji 5.500, na Cyprze 855 itd.

Z ważniejszych obrządków wschodnio-katolickich (t. zw. unickich) wymienić trzeba 4: maronitów na Libanie, w Jaffie i Nazarecie; greckich Melchitów, armeńczyków katolickich z osobnym patrjarchą przy III stacji Drogi Krzyżowej, i wreszcie zjednoczonych z Rzymem Syryjczyków. **Ks. Dr Eugenjusz Król.**



Torkom Koushagian, patrjarcha armeński.



Biskup koptyński.



Biskup abisyński.



Hadi Amin el-Husseini, wielki mufti Jerozolimy.



Arcykapłan samarytański.

:—: WSZYSTKIE ZDJĘCIA DRA DOMSKIEGO — JEROZOLIMA. :—:

STRESA — OPUS 128.



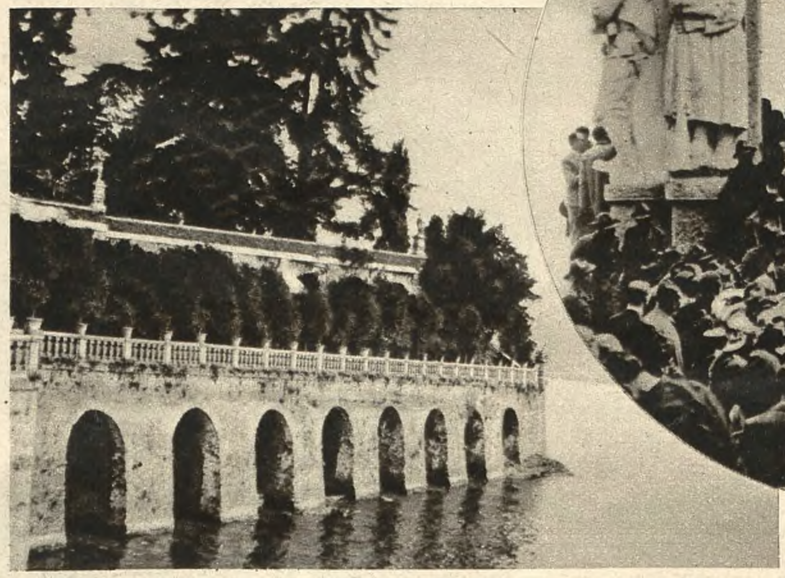
Grand Hotel, w którym zamieszkali uczestnicy konferencji w Stresie. The New York Times.



Mussolini wita premjera angielskiego Mac Donalda. The New York Times.



Ministrowie francuscy i angielscy u grobu generała Cadorny w Pallanza. The New York Times.



Fragment wyspy Isola Bella, na której zamieszkał Mussolini. Fot. A. Solecki — Lwów.



Delegacja francuska na śniadaniu w Stresie. Siedzą od lewej: min. Laval, sekretarz Leger i premjer Flandin. Photo Nyk — Paris.

Na pięknej wysepce Isola — Bella na Lago Maggiore we Włoszech rozpoczęła się t. .zw. konferencja Trzech, t. zn. Anglji, Francji i Włoch. Jest to 128-ma zrzędu konferencja od czasu zawarcia pokoju, co świadczy wymownie, jak małe praktyczne rezultaty przynoszą te wszystkie narady, i obrady, toczące się raz w Londynie, potem w Paryżu, w Rzymie, czy Locarno. Zdają sobie z tego doskonale sprawę dyplomaci i dlatego już na wszelki wypadek przygotowują po cichu nową konferencję, 129-tą, tym razem w Londynie.

Włochy w Stresie reprezentuje Mussolini. Dziennikarze. którzy mieli sposobność obserwować dyktatora Włoch stwierdzają. że postarzał on się trochę, że na twarzy jego widać przygnębienie i przepracowanie. Dziesięć lat gigantycznej, nadludzkiej pracy, nadszarpało widocznie zdrowie Mussoliniego. Po dawnemu jednak ma on w całej swej postaci coś władczego, co zmusza do posłuchu. Przeciwstawieniem Mussoliniego jest premjer angielski, Mac Donald, który wyglądem przypomina anglikańskiego pastora. Niedbale ubrany, czego nie mogą mu darować słynni krawcy angielscy, drobiazgowy i doktrynerski, z uśmiechem, jakby nie z tego świata, przysłuchuje się wywodom „wysokich stron", pilnie coś czasem notując. Niby to jest skłonny do kompromisu, ale w sprawach zasadniczych, dotyczących podstawowych interesów Wielkiej Brytanji, potrafi być nieugięty, jak żelazo. Towarzysz jego, minister Simon, wytworny, dyskretny w każdym calu, świetnie reprezentuje starą, dobrą szkołę dyplomatów, którzy z wielką szczerością mówią zawsze wprost przeciwnie... niż myślą.

Francja do Stresy wysłała premjera Flandina i ministra Lavala. Obaj uosobniają typy stuprocentowych drobnomieszczan. Flandin świeci olbrzymią łysiną. Laval znowu połyskuje kruczemi, lekkosiwiejącemi włosami. Obaj robią wszystko, aby okazać Włochom swoją sympatję, zapewnić je o przyjaźni, przypomnieć braterstwo broni i wezwać do nowego sojuszu militarnego. Obaj także przepadają za dobrą kuchnią i pilnie studjują menu w restauracji.

Najboleśniej konferencja w Stresie rozczarowała kobiety. Liczyły one na „pe", że z racji jej zobaczą Lorda Edena, najprzystojniejszego i najelegantszego dyplomatę świata. Tymczasem Lord, odbywszy kilkadziesiąt różnych konferencyj, rozchorował się ciężko, dostał ataku sercowego i musiał się położyć do łóżka, nabawiwszy się straszliwej niestrawności. Teraz żona jego (bo ten Lord jest już żonaty), czuwa dniem i nocą u łoża swojego Antosia, który wobec tego nie mógł się zjawić w Stresie.

Jest więc konferencja i radzi. O czem? Trudno to skonkretyzować, redakcja nasza bowiem ze względów oszczędnościowych dla wszelkiej pewności wysłała swego korespondenta nie do Stresy, tylko już odrazu do Londynu, gdzie jak wiadomo, odbędzie się niebawem 129-ta konferencja, czyli rewja dyplomatyczna przy udziale tych samych aktorów i autorów, z muzyczką armatnią z Berlina, słowiczym śpiewem z Paryża, puzonami grozy z Rzymu i tym podobnemi przebojami.

Będzie to w koncercie europejskim — opus 129.



„Dar Pomorza" na redzie portu Santa Cruz na Teneryfie.
Fot. M. Simon.



Polska bandera na jeziorze Gatun, stanowiącego ogniwo kanału Panamskiego.
Fot. M. Hawrylkiewicz.

„DAR POMORZA" OPASAŁ PÓŁ ŚWIATA.

Dnia 1-go marca 1935 r. statek szkolny „Dar Pomorza" po sześciotygodniowej podróży z Honolulu zawinął do Yokohamy. Na pokładzie statku odbywa podróż ćwiczebną 69 uczniów Państwowej Szkoły Morskiej w Gdyni. Cała załoga statku wraz z kapitanem liczy 104 ludzi. W swej, przewidzianej na rok, wędrówce dokoła świata „Dar Pomorza" odwiedzi wszystkie 5 części świata. Wyruszywszy 17 września ub. r. z Gdyni „Dar Pomorza" zawinął na krótkie postoje do Kopenhagi 18 września 1934, do Santa Cruz na Teneryfie 17 października 1934, do Mindello na wyspie San Vincente z archipelagu Zielonego Przylądka 28 października 1934, do Fort de France na Martynice 13 listopada 1934, do Santo Domingo na wyspie Haiti 19 listopada 1934, do Colon w Kanale Panamskim 27 listopada 1934. Po przebyciu Kanału Panamskiego 1 grudnia 1934 „Dar Pomorza" zatrzymał się trzy dni w Balboa, skąd 4 grudnia 1934 roku wyruszył przez Pacyfik do Japonji, zwiedzając po drodze zatokę Rozbitków na wyspie Catham i zatokę Pocztową na Floreanie, należących do archipelagu Galapagos (12—14 grudnia 1934). Następnie po 30 dniach zawinął do Honolulu, owacyjnie witany i serdecznie goszczony przez mieszkańców stolicy wysp Hawajskich. W zachodniej części Oceanu Wielkiego trafili na bardzo niepomyślne warunki meteorologiczne, co przedłużyło jego podróż na tym odcinku, opóźniając projektowany termin przybycia do Japonji blisko o dwa tygodnie.

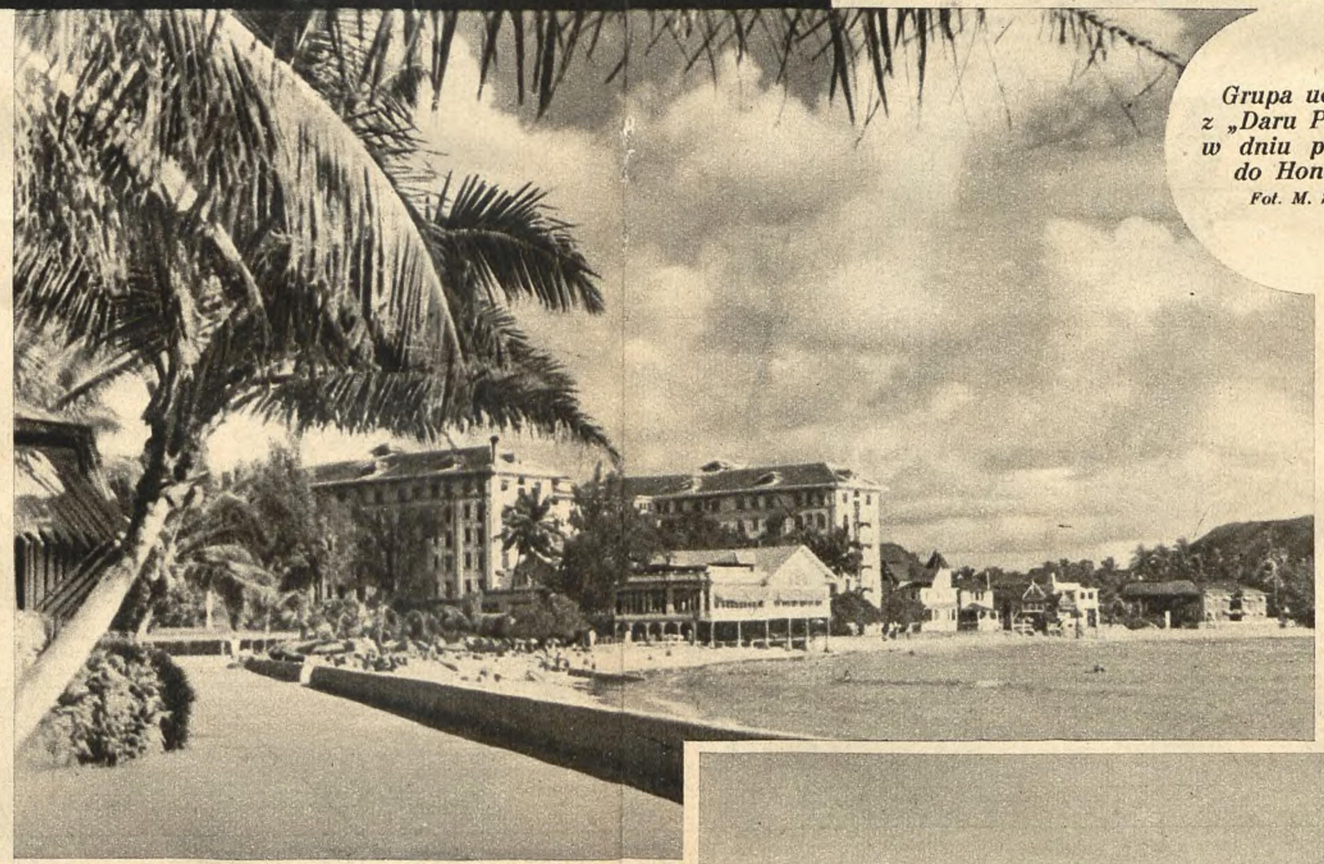
Obecnie „Dar Pomorza" ma za sobą pięć i pół miesiąca drogi od opuszczenia Gdyni i przebyte 18.300 mil. Zarówno co do czasu, jak i dystansu jest to połowa jego podróży. W dalszym jej ciągu przewidziane są porty: Osaka, Nagasaki, Szanghaj, Hong-Kong, Singapoore, Batawja, jeden z portów Australji, wyspy Mauritius, Durban, wyspa św. Heleny, wyspy Azorskie, Dover i wreszcie upragniona Gdynia — gdyż, jak mówi stare słuszne przysłowie: „wszędzie dobrze, ale w domu najlepiej".



Grupa uczniów z „Daru Pomorza" w dniu przybycia do Honolulu.
Fot. M. Simon.



„Urząd pocztowy" na Floreanie (Wyspy Żółwie). Obok siedzą: kpt. „Daru Pomorza" K. Maciejewicz i pierwszy oficer T. Meissner.



Honolulu na Wyspach Hawajskich.
Fot. M. Simon.



„Dar Pomorza" w zatoce Porto Grande (Wyspy Zielonego Przylądka).
Fot. M. Simon.



Hawajskie tancerki Hula witały pieśnią polskich marynarzy.

PANI PREZYDENTOWA MOŚCICKA
NA POKAZIE MODY
U BOGUCHWAŁA MYSZKOROWSKIEGO.



Na zdjęciu: Pani Prezydentowa Mościcka (trzecia od prawej), Pani Ministrowa Beckowa (druga od prawej) i P. Płk. Głogowska z zainteresowaniem słuchają wyjaśnień p. Myszkorowskiego o nakazach mody wiosennej.



BUDUJMY DROGI!

Przez Pożyczkę Inwestycyjną
Własnemi środkami — własną pracą
Budujemy polską sieć drogową.

Komitet Ligi Drogowej
Propagandy Pożyczki Inwestycyjnej.

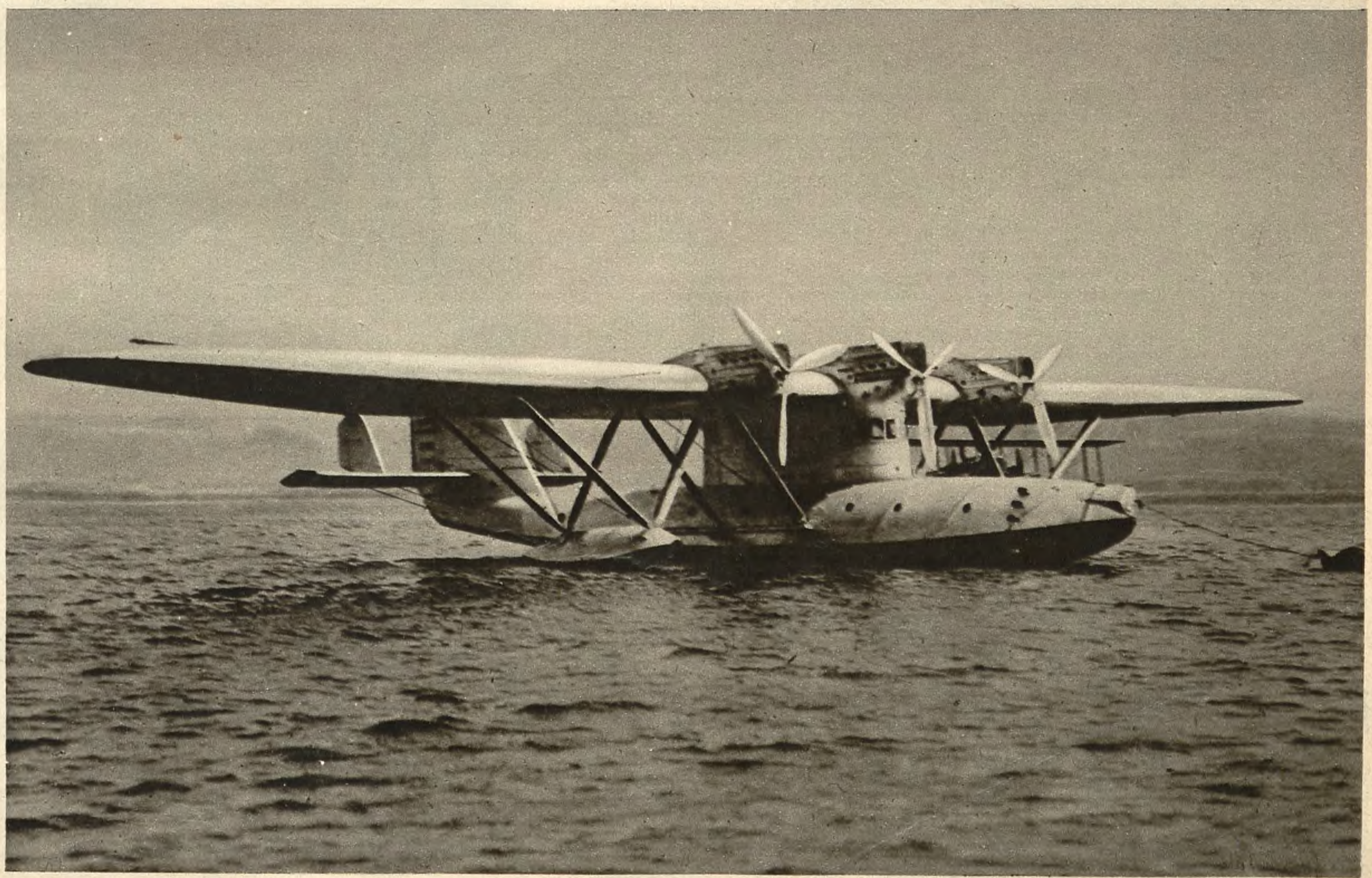
KOBIETA LECI DO STRATOSFERY.

Znakomita lotniczka francuska Madeleine Charneaux podejmuje w niedługim czasie, jako pierwsza kobieta lot na aeroplanie do stratosfery, która obecnie stała się ogromnie modnym terenem wycieczek zarówno balonowych, jak i aeroplanowych. Rywalem p. Charneaux będzie brawurowy lotnik amerykański Post, który po raz wtóry wybiera się do stratosfery, aby jeszcze raz zbadać możliwości pasażerskich lotów stratosferycznych.

SAMOLOTY AIR FRANCE NAD ATLANTYKIEM.



Madeleine Charneaux na tle swojego aparatu. Atlantic.



Wodnopłat Santos Dumont czterosilnikowy. Przydzielony do Atlantyku Południowego. Utrzymuje regularne połączenie raz w tygodniu między Dakarem i Natalem.

ZBIGNIEW GRABOWSKI.

CO WIDZIAŁEM W NIEMCZECH.

Co czytają Niemcy? — Wszystko dla lotnictwa. — Praca społeczna ideałem niemieckiej kobiety. — Precz ze szminką i pudrem. — Rasizm. — „Ahnentafel".

Jesteśmy bliżej życia podróżując trzecią klasą. Nie waham się nigdy jeździć trzecią klasą. Nietylko dlatego, że podróż zagraniczna to jakby zastosowanie praktyczne tytułu fredrowskiej komedji: „Nikt mnie nie zna!", ale także dlatego, że czuję znacznie intensywniej, dokładniej, autentyczniej istotny puls danego kraju.

Trzecia klasa w Niemczech nie jest żadnym ryzykiem jak w krajach n. p. bałkańskich, które pewnie wiedząc o tem, dają zupełnie bez oporu każdemu dziennikarzowi bilet pierwszej klasy. Trzecia klasa w Niemczech jest czysta, pięknie malowana, w toalecie jest woda i mydło oraz ręczniki — czasem płócienne, czasem papierowe. Co chwila — o ile pociąg nie prowadzi wozu restauracyjnego — ugania po niej kelner „Mitropy" z tacą, zachwalając swoją „Fleischbrühe", albo „Heisse Würstchen". Jeżeli chcesz, służy ci piwem, „Spritzerem", mlekiem, kawą i herbatą. Przyniesie ci do przedziału stolik, o ile niema wysuwanego od okna stolika.

W całym wagonie mojego pociągu, jak i w całym składzie Dzugu, wszyscy — czytają. Każdy podróżny wiezie ze sobą gazetę, lub kilka gazet, pismo ilustrowane a poza tem i książkę. Tak, konsumcja książki i pisma idzie dalej niezgorzej w Niemczech.

Interesuje mnie treść tych książek i broszur, połykanych chciwie przez moich towarzyszy podróży. I oto dostrzegam, że przeważa tu literatura lotnicza. „Przeżycia wielkich lotników", wspomnienia różnych „asów", którzy w czasie wojny zestrzeliwali samoloty sprzymierzonych, legenda słynnego Richthoffena i jego „Geschwader", (dzisiaj jak wiadomo powołanej znowu do życia) — słowem lotnictwo na wszelkie odmiany, nuance, tony. Są broszury popularne z wykładami o budowie samolotu turystycznego, są wstępy i prolegomena do latania, są płomienne apostrofy do obywateli Trzeciej Rzeszy, by wstępowali w szeregi towarzystw lotniczych. W tych werbunkowych broszurach powtarza się ustawicznie motyw: Rosja sowiecka ma w swoim „Ossoawjachimie" (bolszewickie LOPP.) miljony członków, ma przeszkolone kadry męskie i kobiece, ma zastępy młodzików... A my? Musimy mieć tosamo teraz, kiedy skrzydła niemieckie przestały tkwić w kajdanach i rozwarły się do lotu nad wolną Rzeszą.

Jestem w kinie. Wzorowy przegląd tygodnia nastrojony na nutę bojową, podszyty myślą nacjonal-socjalistyczną. Połowa tego przeglądu to pokazy lotnicze. Oto jest nowy typ samolotu angielskiego, oto tajemniczy samolot amerykański, który dokonał przelotu bez pomocy pilota, tylko zapomocą fal na pobrzeżu kalifornijskiem. Oto trzymotorowy olbrzym japoński, oto eskadra amerykańska w rozwiniętym szyku bojowym nad pustkowiem Colorado. A to nalot lotniczy na Berlin. Sens i morał tej lekcji jest jasny. Tak wyglądają inni — tak wyglądamy my!

W księgarniach stosy książek na tematy lotnicze. We wszelkich cenach. Tanie broszury i wielkie tomiska, oprawne luksusowo, pełne przednich rycin. Jedna z tych książek nosi fascynujący tytuł: „Żyć nie jest koniecznością — latać jest koniecznością". Nowe spreparowanie hasła łacińskiego: „navigare necesse est, vivere non necesse". Tłum chłopców przykleja nosy do szyby. Wszystkie oczy świecą się do tych książek. Lotnictwo odprawia swoje czary nad duszą młodego Niemca. Niemcy chcą mieć potężne lotnictwo cywilne i wojskowe — i mieć je będą. Dzisiaj już zbiórki na cele lotnicze dają po miastach Rzeszy liczne miljony. Kadry towarzystw lotniczych pęcznieją jak na drożdżach. Mówią sobie wtajemniczeni, że Rzesza ma circa 630 lotnisk. Bagatela!

Ten karny naród podda się każdej inicjatywie, jeżeli wylansuje się ją energicznie i władnie. Wydobędzie ze siebie nowe, niespodziewane energje, gdy zażąda tego chwila. Dzisiaj kierunek myśli niemieckiej steruje ku lotnictwu, a sternik tej nawy — gen. Goering wie, jak naciskać pedał powszechnego zapału.

Obok tych książek lotniczych, co tak fascynują wyobraźnię młodzieży, uderza olbrzymi zapas książek o zagadnieniach rasy. Jest to druga moda niemiecka — ale moda, która jakoś nie chce minąć. Moda w tym narodzie ma cechy poważne i — niebezpieczne.

Tygodniki poświęcone rasie, miesięczniki i sterty książek wszelakich autorów, niektórych całkiem uczciwych, a niektórych bardzo podejrzanych. Cała ta literatura znajduje chyba olbrzymi popyt, bo niema dnia, żeby nie pojawił się nowy na ten temat wykład.

W kawiarniach, knajpach, restauracjach, w kuluarach teatrów, w hallach hoteli słyszy się to słowo „Rasse" we wszelkich odmianach. Dyskutują o tem chłopcy, którym daleko jeszcze do wysypania się pierwszego wąsa i używania giletki, panienki zaczesane energicznie do tyłu, o jasnych włosach i odważnych oczach. A panienki te opalone, o muskularnych rękach, gardzą ostentacyjnie pudrem i nie używają szminki. Zerwały z „rozpasaniem" dziewczyny niemieckiej po wojnie, która — przyznają to same — zanadto korzystała ze swej świeżo uzyskanej swobody. Dzisiaj przyszły inne czasy: czasy „Aufbau", czasy „Erhebung", kiedy buduje się nowe społeczeństwo, pełne powagi i odwagi. Kobieta niemiecka, dziewczyna niemiecka nie została tak zasunięta w tył, w cień, jak to się stało n. p. w Italji, gdzie cofnięto ją — zresztą bez oporu z jej strony — do domu. Kobieta niemiecka jest zbyt świadoma, zbyt mocne posiada ramy organizacyj, by dała się cofnąć do ideału „trzech K.": „Kirche, Küche und Kinder". Walczy ona dzisiaj także na froncie społecznym.

Kobiece organizacje niemieckie objawiają nowy zapał i rozmach. Poświęcają się one przedewszystkiem organizacji wytwórczości kobiecej. Wyzbyły się swojej skłonności do rzucania haseł, do dyskutowania o „wyzwoleniu kobiety", a jęły się pracy realnej, ciekawej, bardzo zastanawiającej. Możeby nasze organizacje kobiece, które zanadto jeszcze tkwią w tej epoce dyskursów i jałowego gadania o programach, zapoznały się z tym niemieckim planem? Nie jest on taki głupi...

Ale nie o tem chciałem mówić. Chciałem wspomnieć o owej rasie, która pasjonuje podlotka i pannę sklepową, oraz urzędniczkę w magistracie. Uczy się o tej rasie ze wszystkich broszur, jakie znajduje w najbliższej księgarni i rozpowiada z zapałem o właściwościach rasy nordyckiej a o ujemnych cechach semityzmu. Moda na rasę jest bardzo pociągająca — bo przecież na ten temat można tyle snuć fantazyj!

Rodzi ona także i pewne osobliwe przemysły. Powstają więc towarzystwa dla badania rasy, a co więcej, towarzystwa heraldyczne przeżywają niebywały rozkwit. Nie brak wystaw, gdzie pokazują, co to jest rasa i dają wykresy słynnych rodzin niemieckich. Można na takiej wystawie ujrzeć drzewo genealogiczne samego kanclerza Hitlera i jego najbliższego otoczenia. Tłumy garną się do takich wystaw i interes na razie jest nie zły.

Zarabiają jeszcze inni ludzie — znacznie już skromniejsi — fotografowie. W szeregu miast niemieckich, jakie miałem sposobność poznać w czasie mojego parokrotnego pobytu w Rzeszy, widziałem w oknach i witrynach u fotografów wielkie afisze, albo też wywieszki, głoszące: „Niemcze! Poznaj swoją przeszłość! „Niemcze! Uświadom sobie, jaka była twoja rodzina!" „Niemcze, nie wstydź się swoich przodków!"

Te wszelkie płomienne zachęty służyły do celu nader przemyślnego a równocześnie zupełnie zrozumiałego w warunkach obecnych Niemiec. Oto miały one na celu wmówić w każdego Niemca, że powinien postarać się o t. zw. Ahnentafel, czyli „tablicę przodków". Nie każdy ma przecież salon zawieszony portretami rodzinnemi, sięgającemi aż het w średniowiecze, nie każdy ma zamek, czy pałac z galerją antenatów. Tym więc upośledzonym przez los ofiarowuje uczynny fotograf taką właśnie Ahnentafel, czyli zestawienie fotografij przodków do trzeciego, czy czwartego pokolenia wstecz. Na szarej, albo brunatnej tablicy kaligrafuje sprytny fotograf, iż jest to Ahnentafel takiego to Schmidta, czy Meiera, poczem umieszcza szereg małych główek męskich i kobiecych z oznaczeniem lat ich bytowania. I tak powstaje piękny obraz, który wiesza się w salonie.

Oczywiście nie wszyscy mają fotografje swoich przodków, albo dagerotypy, albo portrety, z których możnaby zrobić zdjęcie u uczynnego fotografa. Wiele osób sztukuje sobie przodków z starych rycin, a podobno są i poczciwi fotografowie, którzy ułatwiają to zadanie. Są pewne utarte typy, które wypożycza się przy małym retuszu — i Herr Schmidt, czy Meier wraca do domu zadowolony z tak uzupełnioną Ahnentafel, wierząc, że tacy byli, albo być mogli jego nieznani mu przodkowie. — Tego bowiem żąda kult rasy!

ŚLUB PREMJERA GOERINGA.



Dnia 10 kwietnia odbył się w Berlinie ślub premjera Goeringa z artystką teatralną Emmy Sonnemann. W uroczystościach tych wziął udział kanclerz Hitler i najwybitniejsze osobistości ze świata politycznego, wojskowego i artystycznego. Emmy Sonnemann, reprezentuje typ nowoczesnej kobiety niemieckiej, przesiąkniętej ideałami narodowo-socjalistycznemi, oddanej pracy nietylko zawodowej, ale i społecznej. Na zdjęciu p. Goeringowie dziękują tłumom za owacje, po wyjściu z Katedry, gdzie brali ślub.

The New Jork Times.

W DOMOWEM ZACISZU.



Wiosna sprowadza zasadnicze zmiany ubioru nietylko w odzieży, ale także w dziedzinie bielizny osobistej i stroju ściśle domowego na użytek intymny. Zarzucając futra, ciepłe wełny i wszelkie grubsze materjały, pomyśleć musimy i o tych nieodzownych a pięknych i miłych częściach garderoby.

Lekki szlafroczek umila nam chwile wypoczynku w zaciszu domowem. Rano i wieczorem narzucamy go z przyjemnością, by w tym wygodnym stroju wypełnić obowiązki, związane z prowadzeniem domu, czy też oddać się swobodnej lekturze lub innym przyjemnościom dostępnym w własnym domu.

„Il faut soufrir pour etre belle"... Wprawdzie zmiany, jakie zaszły w dziedzinie mody, nie wymagają od nas gorsetów na fiszbinach i tym podobnych narzędzi całodziennej tortury, niemniej jednak poświęcamy zawsze pewne starania pielęgnowaniu zdrowia, urody i utrzymaniu ogólnej estetyki swego wyglądu, to też szlafroczek jest synonimem koniecznego wypoczynku tak po pracy zawodowej jak i wysiłkach gimnastycznych, nieodzownych w życiu nowoczesnej kobiety

Każdy sezon mody uwzględnia też obszernie dział domowych ubiorów, od szlafroczka do pyjamy, od uroczych lisuese do wytwornych saut-de-lit, tworząc kreacje pełne poezji z jedwabi, koronek, wstążek, łabędziego puchu i tym podobnych czarujących fatałaszków. Któż dziś sobie na nie pozwolić może w szerszym zakresie... Niemniej jednak na wzorach tej najwytworniejszej mody powstają dostępne dla kobiet pracy kreacje i tym warto poświęcić nieco uwagi. J. Z.

Suknia domowa z velour chiffon, przybrana puszkiem łabędzim.



Szlafroczek przybrany poprzecznemi pasami i gałkami guzików.



Obok: Saut-de-lit z deseniowej gazy, narzucone na nocną koszulę.

SPORTOWCY, KTÓRZY DOROBILI SIĘ MILJONÓW.



Bokser Jack Sharkey uciułał sobie okrągły miljon i — niema zeń już ani grosza...



Światowy mistrz golfu Walter Hagen zarabia cztery razy więcej, aniżeli gubernator stanu Nowy Jork.

Kraków, w kwietniu.

Są tacy, jest ich nawet dość spora gromadka. Większość tych parwenjuszowskich członków i właścicieli wygodnych foteli w klubie amerykańskich miljonerów — boć o Amerykę głównie chodzi — rekrutuje się naturalnie ze sfer bokserskich, ze świata ludzi o płaskich nosach i figlarnie rozszczepionych uszach. Boks, jako sport wybitnie widowiskowy daje dziś bowiem ciągle jeszcze największe możliwości zrobienia szybkiej karjery i zdobycia pieniędzy. Dużo pieniędzy. Miljonów.

Sportowcy miljonerzy? Niezbadane są drogi asocjacyj myślowych, plątających się niekiedy po najdziwaczniejszych i najbardziej paradoksalnych skrzyżowaniach dżungli naszego mózgu. W tym jednak wypadku narzuca się zdecydowanie i odrazu jedno dręczące pytanie: jakto, przecież nie wolno zarabiać na sporcie, nie wolno według starych, tradycją uświęconych angielskich pojęć sportowych brać nietylko pieniędzy, ale nawet zwrotu kosztów własnych, rzeczywistych wydatków, związanych z uprawianiem sportu?

Nie wolno. Prawda. Mówimy jednak o sportowcach zawodowych o t. zw. profesjonalach, dla których sport jest już nie zabawą, nie rozrywką i wytchnieniem po pracy, lecz pracą samą, zawodem i sposobem do zdobywania — jakże ciężkiego niekiedy zdobywania — kawałka chleba.

A więc zawodowcy. Jest w tem słowie i w tem rozgraniczeniu pojęć coś boleśnie niesłusznego i krzywdzącego. Coś, co odrazu nastraja nas na ton pewnej wyższości, pozwala na zajęcie odpowiednio odmierzonego dystansu wobec tych wykolejeńców społeczeństwa sportowego i pogardliwe wzruszanie ramionami.

Nie czas tu i miejsce na rzeczowe, czy wyczerpujące ujęcie tego odwiecznego problemu amatorstwa i zawodowstwa. Jedno jest tylko pewne: dotychczasowe przepisy są przestarzałe, grubo przestarzałe i nie wytrzymały już dawno najistotniejszej próby i jedynie decydującego kryterjum — życia.

Tak jak zrozumiałem jest dla nas, że dobry aktor, dobry śpiewak, malarz, rzeźbiarz, czy ślusarz powiedzmy, bierze za to, że jest dobry właśnie pieniądze i naodwrót, nikt nie bierze mu tego za złe, tak samo zrozumiałem jest, względnie powinno być, że sportowiec, który doszedł do wyników



Babl Ruth, najlepszy gracz w baseball, ma pensyjkę roczną 150.000 dolarów.

Zdjęcia Presse-Photo — Berlin.

światowych i który chce utrzymać się w swojej rekordowej formie, nie może poprostu poświęcać się zawodowo niczemu innemu, jak tylko swemu sportowi. Cóż więc dziwnego, że żyje z tego sportu, względnie chce zeń żyć.

Mimo tej pozornej jasności problem jest w rzeczywistości dość skomplikowany. Niektóre dyscypliny sportowe nie mają dziś jeszcze odpowiednio silnie rozwiniętych odpowiedników zawodowych. Taki Nurmi n. p., czy słynny francuski biegacz Ladumegue albo nasz b. rekordzista Petkiewicz nie są w stanie utrzymać się ze swego sportu. Jest ich zamało jeszcze, a z amatorami nie wolno im startować wspólnie. W tem leży właśnie krzywda obecnej sytuacji w sporcie i tu trzebaby jakoś koniecznie zaradzić. W ten sposób bowiem eliminuje się ze sportu automatycznie wartościowe jednostki, jednostki w większości wypadków bardzo dla sportu, jego popularności i rozwoju zasłużone.

— — —

Wracamy do miljonerów. Myliłby się ten, ktoby przypuszczał, że najwięcej pieniędzy zarobił na sporcie w Ameryce Dempsey lub Tunney. Tunney jest obecnie zapewne najbogatszym sportowcem w Ameryce, ale pomogła mu w tem wybitnie — jego żona. Do dwu miljonów dolarów, które zarobił ten bokser — filozof z artystycznemi i literackiemi upodobaniami, dodała mu żona a właściwie jej miljonowy papuś maleństwo — 50 miljonów posagu. Własnym przemysłem zarobił jednak najwięcej słynny amerykański gracz baseballu — narodowej amerykańskiej gry — Ba-



Zuzanna Lenglen, mistrzyni tenisa, zdołała uskładać sobie pół miljona dolarów, odkąd amatorstwo porzuciła dla zawodowstwa.

be Ruth. Pulchniutki ten i dobrze wypasiony, jowialny jegomość, jest w swym kraju osobistością o wiele bardziej popularną od prezydenta Roosevelta, Dempseya i całej mlecznej drogi gwiazd filmowych razem. Dempsey musi dziś zarabiać na życie jako manażer i sędzia spotkań bokserskich. Niezależnie od tego założył sobie zresztą niedawno restaurację naprzeciw znanego pałacu sportowego Madison Square Garden, gdzie święcił niegdyś swe sukcesy. Dempseyowi powodzi się jeszcze stosunkowo dobrze. Gorzej jest już n. p. z b. mistrzem świata Scharkeyem, który myśli pono znowu o przelezieniu przez czworokąt sznurów ringu bokserskiego, bo nie ma z czego żyć. Tak, tak. Tytuł jest nietylko sławą, jak sądzi się niekiedy. Tytuł to pieniądze. W boksie przynajmniej, przekonał się o tem dowodnie inny mistrz świata — Maxie Rosenbloom. Niedawno jeszcze był on mistrzem świata i Ameryki w wadze półciężkiej. Za głupi tylko mecz z lokalnym matadorem w Miami, niejakim Knightem ofiarowano mu 30.000 dolarów. Rosenbloom jednak stracił w międzyczasie tytuł i za ten sam mecz dano mu potem już tylko — 1.500 dolarów. Dobra zresztą nauczka. Roosenbloom pozostać mógł mistrzem świata chyba do końca życia. Jest on dziś jak i przedtem ciągle jeszcze najgenjalniejszym — jeśli można użyć tego słowa — bokserem swej wagi, jaki kiedykolwiek żył na świecie. Ale nie brał on nigdy niczego poważnie. Nie walczy on, lecz bawi się. Nie przegrał on, lecz przegrał swój tytuł. Jest właśnie zbyt — utalentowany.

W innych działach sportu niezgorzej jeszcze stosunkowo powodzi się zawodowcom tenisowym. Najlepiej zarabia dyrektor wędrownego „cyrku tenisowego" jak nazywają jego trupę, „Big Bill" Tilden. Przeciągnął on do obozu zawodowców wszystkie sławy tensowe z Cochetem, Vinesem, Lottem i Stoeffenem na czele. Grubo wcześniej opuściła brzeg amatorski słynna „boska Zuzanna", Francuzka Lenglen, która jednak wycofała się wkrótce z całego interesu. Zarabiała widocznie więcej jako — amatorka.

Dziś nie może konkurować z boksem jeszcze żadna inna gałęź sportu. Toteż amatorów na mistrzostwo świata ciężkiej wagi jest coraz więcej. Obok Schmelinga, Carnery, Braddocka wyrósł Baerowi jeszcze jeden groźny konkurent: mistrz Anglji Jack Petersen. Ogłosił on właśnie swe zaręczyny z miss Williamson. Ślub nastąpić ma jednak dopiero po odbyciu przez Petersena walki o mistrzostwo świata.

Biedna miss Williamson, urocze 18-letnie dziecko. Będziesz chyba długo, długo czekać...

J. Roha.



Migawki.

STRASZLIWA POCZTA.



Nie mogę powiedzieć, bym lubiał pisywać listy. Natomiast pasjami lubię je przyjmować. Nawiązanie z kimkolwiek korespondencji wygląda u mnie tak: zwykle najpierw uprzedzam naiwnego biedaczka, że odpowiedzi nie otrzyma nigdy — w razie przeciwnym będzie to u mnie oznaką poważnego niedomagania władz umysłowych. Potem wypowiadam parę zdań na tematy zupełnie mi nieznane — następnie kilka niedomówień — serja „zmarszczonych min"... i gość do pisania gotowy. Wyjeżdża taki z przekonaniem, że poznał genjusza i zaczyna pisać.

W ten sposób zorganizowałem sobie całą plejadę „piórozjadów", dostarczających mi za własne pieniądze strawy intelektualnej, nadziewających mnie myślami, jak indyka.

Ale ostatnio zaczęła mnie brać (za przeproszeniem wykwitnych łamów Światowida) szewska pasja... Co list otworzę, spodziewając się nowego napływu twórczych myśli, wyciągam... reklamy biur transportowych, past do nacierania głowy po zbyt intensywnem myśleniu, trumien, mydeł i t. d.

Dziś spodziewałem się pieniędzy od człowieka, który okazał się w tym wypadku „ostatnim z naiwmanów". Dzwonek u drzwi. Pędzę jak szalony, otwieram — przed drzwiami w całej swej rozkosznej okazałości... listonosz pieniężny. Drżącemi rękami podpisuję przekaz, nie patrząc „co i gdzie". Listonosz z anielskim uśmiechem powiada: „Tysiąc złotych". I wali na stół dwie (jak Boga kocham) pię...pięćsetki... Kłaniając się, rozwiera poczciwiec gębę szeroko i śmieje się dobrodusznie.

Rozsadza mnie szczęście. Biorę do ręki słodko szeleszczący papierek i z lubością przypatruję się cyfrom i napisom. I czytam:

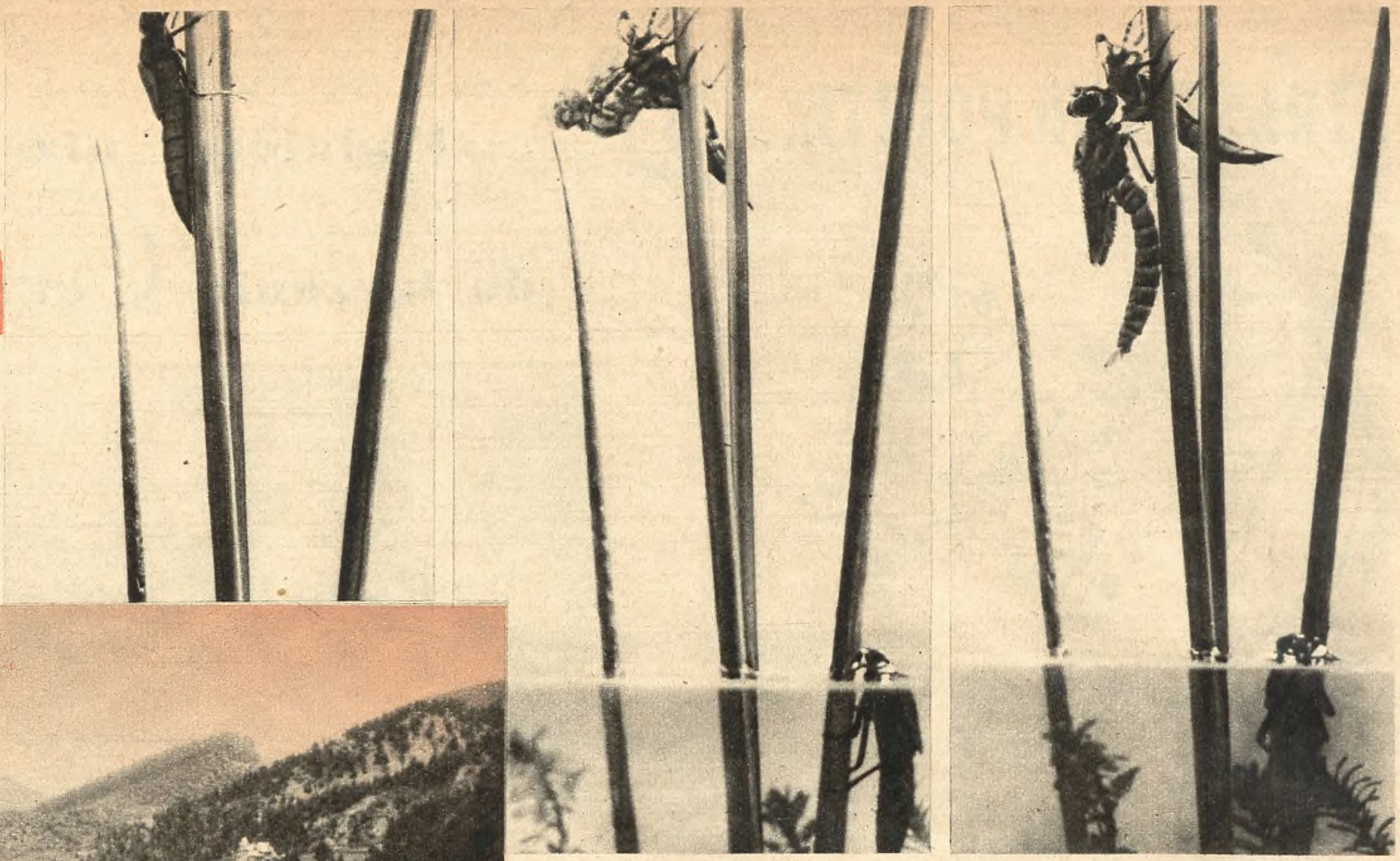
„500 złotych wypłacimy natychmiast temu, kto udowodni, że nasz niezawodny środek „Karakonobój" jest zwyczajnem oszustwem. Jedna uncja proszku wystarcza do momentalnego zabicia człowieka, a co dopiero biednego, małego karakonka. Radzimy Szanownemu Panu spróbować na sobie, a napewno będzie Szanowny Pan przekonany o prawdziwości naszych słów. W każdym z tych zrobionych banknotów znajduje się uncja naszego niezawodnego środka. Wystarczy tylko powąchać. Działa nawet przez papier".

Przez chwilę trwałem w złowrogiem milczeniu. Potem ryknąłem jak bawół i... powąchałem.

Więcej już żadnych listów przyjmować nie będę, bo właśnie przed chwilą umarłem.

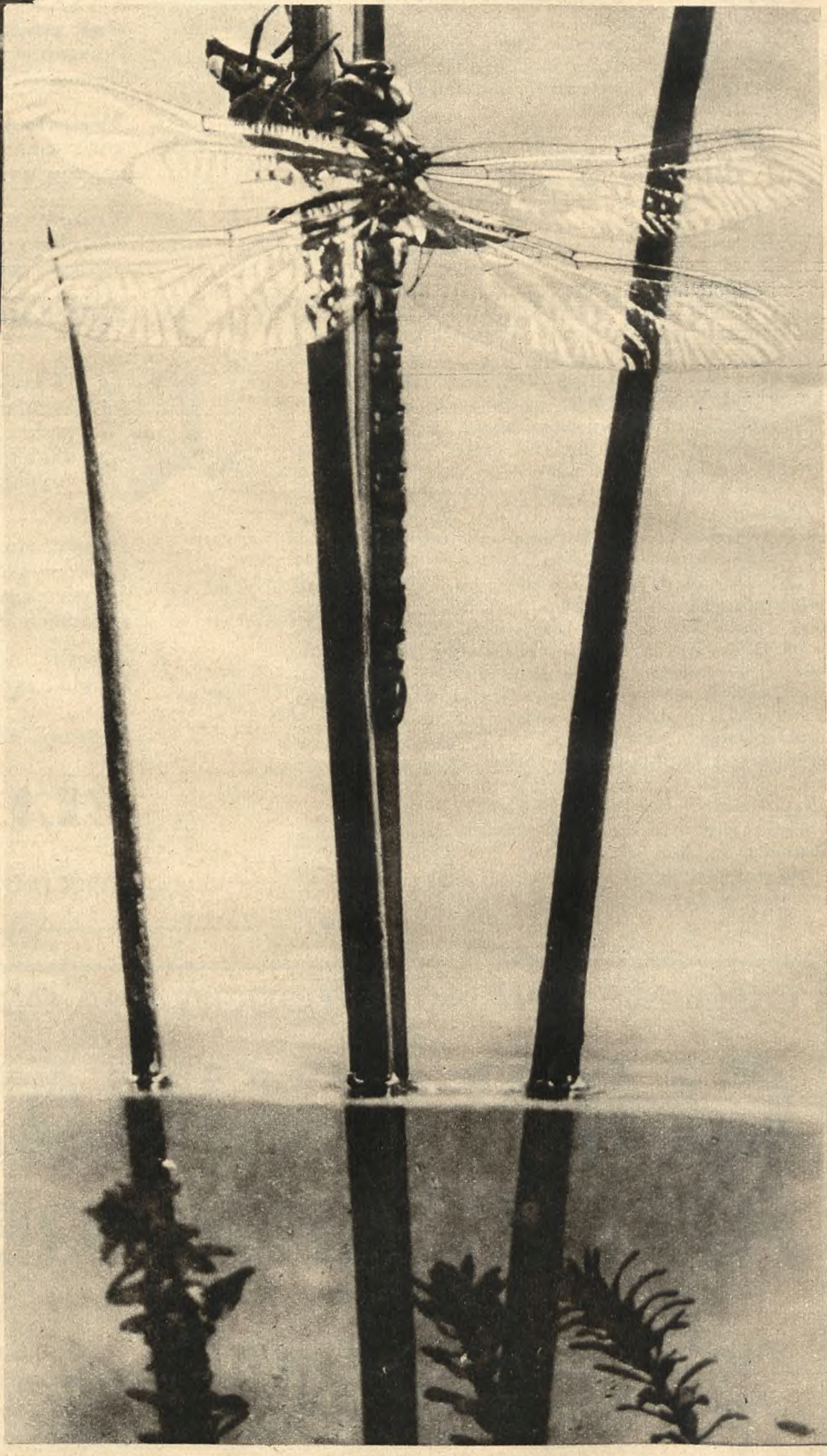
Ceam.

NARODZINY WAŻKI.





Poszczególne fazy przeobrażania się larwy w ważkę.



Rozpostarłszy swe skrzydła, odpoczywa ważka po trudach narodzin.

Kry już dawno spłynęły. Brzegi rzeki zazieleniły się, w wodzie zaczął się ruch. Brzydka larwa zaczęła piąć się po wodorostach ku górze. Powitało ją ożywcze słońce, pod wpływem którego jej szarą skorupę zaczęły przebiegać dziwne dreszcze. Czuła, że zbliża się chwila, w której przeobrazi się w szmaragdową ważkę. Będzie mogła bujać, jak ptak. Już wysunęła głowę z ciemnego więzienia, jeszcze kilka energicznych ruchów i oto znalazła się na wolności. Rozprostowała skrzydła... Za chwilę poleci w świat, goniąc za drobnemi muszkami i owadami, które staną się jej żerem. A potem w gorący, upalny dzień zniesie jajka na wodę, aby dać początek nowemu życiu i nowej brzydkiej larwie, żerującej na dnie rzeki... aż do wiosny.

W Polsce mamy około 70 gatunków różnych ważek. Są one wspaniale ubarwione, tak, że słusznie nazwano je kolibrami naszych wód.

ZDJĘCIA RENÉ W. P. LEONHARDT BERLIN

sztuka i FILM



OLGA SŁAWSKA.

Ballerina opery warszawskiej.

OLGA SŁAWSKA BALLERINA TEATRU WIELKIEGO W WARSZAWIE.

Oto rzeczywiście tancerka od urodzenia. A nawet z dawniejszych jeszcze czasów... Tak, tak... Proszę posłuchać...

Było młode małżeństwo. Oboje — miłośnicy baletu. I tak sobie postanowili: jeżeli się urodzi córeczka, będą ją kształcili na tancerkę, a marzeniem ich będzie, aby na tem polu najzaszczytniejsze laury zdobywała. Prosili więc Boga, aby ich związek pobłogosławił piękną córą...

Gorące modły zostały wysłuchane. Urodziła się córeczka. Więcej już potem dzieci nie było. Rodzice nie mogli się doczekać chwili, kiedy jedynaczkę będzie można oddać do szkoły baletowej przy teatrze Wielkim. Aż przyszła ta chwila. Była zresztą również przez maleńką jeszcze wtedy Oleńkę upragniona, bo marzenie rodziców jakby się w nią wcieliło. Od maleńkości już pląsała...

Pod tym względem szczęśliwie jej się życie ułożyło. Ileż to dziewcząt, czując w sobie powołanie taneczne, musi staczać o to walki z rodzicami! I co dziwniejsze — zwłaszcza w sferze inteligentniejszej. Wskutek tego tancerki rekrutują się przeważnie z niższych warstw społecznych. A tu — nie! Rodzice należeli do inteligencji. Ojciec pracował w księgarstwie. Prowadził nawet jakiś czas własne przedsiębiorstwo wydawnicze. A oboje pragnęli, aby córka stała się sławą taneczną... Wierzyli gorąco w to, że tak będzie, ale ani nie przypuszczali, jak im się to kiedyś przyda...

Bo im bardziej mijały lata, a Olga wyrastała wzrostem i talentem ponad wszystkie rówieśnice, o tyle jej ojcu kryzys dawał się coraz bardziej we znaki. I zbiegły się dwa smutne fakty. Ojca zredukowano. Nie mógł znaleźć pracy. I teatr Wielki zamknięto... Najzdolniejsze tancerki teatru Wielkiego zaangażowano do rewji. Między niemi Olgę Sławską. I oto niespełna szesnastoletnie dziewczątko, zarabiając w rewji osiem złotych dziennie — utrzymuje rodziców...

Zamknięto teatr Wielki, ale baletmistrz Zajlich, nie chcąc, aby tyle młodych talentów zmarnowało się w rewji, prowadził dalej szkołę baletową o półtorawiekowych tradycjach własnym sumptem. Wielu tancerkom, pracującym w rewji, nie chciało się wcześnie wstawać, aby chodzić na lekcję do prof. Zajlicha. Bo przedstawienia rewjowe kończyły się około pierwszej w nocy... Nazajutrz o jedenastej już próba. Komuż toby się chciało być już o dziewiątej z rana na lekcji baletowej?

Tylko niewielu najpilniejszym. Między niemi znajdowała się Olga. Pilność jej została chlubnie uwieńczona. Pod koniec roku był egzamin. Dyplom honorowy uzyskała tego roku jedna tylko absolwentka słynnej warszawskiej szkoły baletowej — Olga Sławska, której talent na popisie zabłysnął równie pięknie, jak olśniewająca, wręcz z j a w i s k o w a uroda...

A potem już co roku nowy triumf... Rok 1933. Pierwszy międzynarodowy konkurs tańca artystycznego w Warszawie, na który zjeżdżają się największe sławy taneczne świata. Siłom krajowym braknie odwagi mierzyć się z asami tanecznemi obu półkul... Nie stają nasze największe sławy: siostry Halamy, Karczmarewiczówna, Leitzkówna, Antoszówna... Ambitna Sławska mierzy siły na zamiary. Pod kierownictwem znakomitego baletmistrza Nellego, bawiącego właśnie w Warszawie aranżera wszystkich rewji filmowych „Foxa", przygotowuje sobie suitę chopinowską: walca, preludjum i mazurka, staje do konkursu, tańczy i... ratuje honor tańca polskiego, zdobywając (18-letnie dziewczątko) zaszczytny złoty medal... Międzynarodowe jury z primaballeriną Opery Paryskiej słynną Carlottą Zambelli na czele, jest nią wręcz olśnione, a prezes honorowy jury Rolf de Maré, przewodniczący „Archives Internationales de la Danse" ofiaruje jej specjalnie przez siebie ufundowaną nagrodę, jako dla najwyżej przez jury ocenionej tancerki polskiej w konkursie.

Rok 1934 — tym razem konkurs międzynarodowy odbywa się w Wiedniu. Sławska uzyskuje w eliminacji krajowej pierwsze miejsce i na konkursie znów zdobywa zaszczytny medal...

Wraca do Warszawy i tu właśnie zastaje moment odrodzenia baletu Opery Warszawskiej pod kierownictwem światowej sławy baletmistrza Jana Cieplińskiego. Ten odrazu ocenił wielki talent Olgi. Powierza jej stanowisko balleriny... Tego jeszcze nie było w dziejach baletu: 19 lat i już ballerina w stołecznym zespole tanecznym i o tak wielkich tradycjach!... Dawniej na takie stanowisko czekało się długie lata i tylko wyjątkowe wybranki losu dostępowały tego zaszczytu... Nawet rodzice Olgi nie przypuszczali, że ich odwieczne marzenie ziści się tak szybko... Coprawda, dwukrotna laureatka konkursów międzynarodowych w całej pełni na to wysokie stanowisko zasługiwała.

Sezon 1934/5 jest pasmem nieprzerwanem triumfów artystycznych Olgi Sławskiej. Jako ballerina teatru Wielkiego tańczy wszystkie czołowe partje, a więc: solo w „Aidzie", w „Carmenie": solo w II akcie i duet z Tosią Nowicką w IV akcie, w „Nocy Walpurgi" porywa wszystkich, jako niezrównana Aspazja, zdumiewa zacięciem w solo mazurowem ze „Strasznego Dworu", a w trojaku śląskim świetnie spisuje się wraz z drugą balleriną Janiną Kaniewską i baletmistrzem Cieplińskim. W „divertissement" tańczy prześliczną scenkę „Na balu", na tle całego zespołu męskiego. Nie mogąc już w bieżącym sezonie wystawić swego ulubionego baletu „Legendy o Józefie", baletmistrz Ciepliński pokazuje przynajmniej mały jego fragmencik w postaci tańca Sulamity, odtworzonej przez Sławską z wzorową starannością i finezyjną wyrazistością, opartą o subtelną muzykalność. Ostatnio dyr. Korolewicz-Waydowa powierza jej poważną partję taneczną w wieczór swego jubileuszu („Afrykanka").

Ale dopiero marzec 1935 był szczytem triumfów Olgi Sławskiej na scenie teatru Wielkiego. Na wielkiem galowem przedstawieniu, w obecności całego rządu i korpusu dyplomatycznego oraz elity artystyczno-towarzyskiej Warszawy wystąpiła, jako partnerka słynnego Sergjusza Lifara, największej dziś sławy baletowej obu półkul. To, o czem marzą najwybitniejsze tancerki całego świata — zatańczyć z Lifarem — udało się „dziecku szczęścia" — Oldze Sławskiej...

A zaledwie trzy tygodnie później — dzień przełomowy w karjerze artystycznej Olgi Sławskiej. Główna rola w całospektaklowym balecie — „Kopelji". Rola o najwspanialszych tradycjach. Rola wymagająca wielkiego talentu, wytrzymałości, muzykalności, a w dodatku przez baletmistrza Cieplińskiego naszpikowana szeregiem trudności technicznych. Kopeljusza tańczył on sam...

Sukces artystyczny zupełny. Ogromne kosze kwiatów. Huragany braw. Z prawej loży prosceniczej oklaskuje ją pani Prezydentowa Mościcka, a z lewej — pani Marszałkowa Piłsudska z córkami...

Olga Sławska tonie w kwiatach i w... strugach potu, gdy docieramy do jej garderoby, prosząc o parę słów wywiadu dla „Światowida". Nic dziwnego. Balet trwa godzinę i kwadrans, a Sławska niemal nie schodzi ze sceny. Póki się „suszy" i przyodziewa, parę słów pogawędki z uszczęśliwionymi rodzicami, którzy ze łzami w oczach, a zarazem promieniejąc z radości, mogą tylko powiedzieć:

— Doczekaliśmy się nareszcie... Nieustannie marzyliśmy tylko, aby nasza Oleńka była balleriną na wielkiej scenie baletowej...



Olga Sławska, jako Sulamita w „Legendzie o Józefie".

Fot. Van Dyck, Warszawa.

A oto i sama triumfatorska... Na czole perlą się jeszcze wielkie krople potu... Mówi:

— Wolę to stokroć bardziej, niż laury na konkursach międzynarodowych. Tam tańczę pięć minut i znikam... Tu dopiero mam możność nasycić się dowoli tańcem, stworzyć pewną postać, dać jakąś kreację... I wytańczyć się, wytańczyć dowoli...

Dalszą rozmowę przerywa nam przybycie baletmistrza Cieplińskiego, który także straszliwie się zmordował. Pokazuje nam swoją koszulę i... wykręca ją, a z niej aż strumienie ciekną... To niełatwa praca — taniec w takim balecie!

Gdy Sławska ujrzała dyr. Cieplińskiego, rzuciła mu się na szyję, wołając:

— Dziękuję, dziękuję, mój mistrzu!...

— Za co?

— Panu przecież to wszystko zawdzięczam...

— Swojemu talentowi i pracy przedewszystkiem — odparł skromnie Ciepliński.

H. Liński.

FELJETON FILMOWY.

CZY JESTEŚMY NARODEM FILMOWYM?

W rozwoju X-tej Muzy rozróżnić można trzy style, a to skandynawski, niemiecki i amerykański. Skandynawja, ogniskująca w okresie ostatniej wojny swą produkcję w duńskiej wytwórni spokojnym, refleksyjnym, przy wielkim umiarze „Nordisk" — wytworzyła typ gry o charakterze w gestach i mimice. Niemcy, ze swą skupioną koturnowością, z akcentowaniem każdej poszczególnej „frazy mimicznej", a zarazem drobiazgowem przygotowaniem reżyserskiem wszystkich szczegółów obrazu — ze swą rozbudową znaczenia operatora w realizacji danego filmu — zaznaczyły wybitnie odrębność swego własnego stylu już we wczesnym okresie rozrostu filmowej sztuki.

Z chwilą wkroczenia na rynki europejskie filmu amerykańskiego — mieliśmy sposobność poznać nowego rywala stylów europejskich. Określić moglibyśmy go jako stop, połączenie dwóch typów: skandynawskiego (refleksja i bezpośredniość) i niemieckiego (skupiona gra aktorów, dokładność „punktowania" psychologicznych momentów akcji). Na pierwszy jednak plan wysuwa się tu przedewszystkiem prostota ujęcia danej „frazy mimicznej" przez interpretatorów ról, refleksyjność gry, ultranaturalizm bez niemieckiego „falowania piersią", bez akcentowania najmniejszych odcinków akcji „wygrywaniem" ich przez aktora całą postacią, nawet pewien szablon z tej prostoty wypływający — dalej występująca dość często, zwłaszcza w filmach t. zw. „historycznych", naiwność w sposobie ujmowania i przeprowadzenia tematu, wkońcu nieśmiertelny w filmie amerykańskim, a tak dla niego charakterystyczny, „happy end".

Ale równocześnie zaznaczyło się w tym stylu to, czego w niektórych scenach film europejski absolutnie nam dotychczas nie dawał. Momenty n. p. batalistyczne, walki wręcz, karkołomne wyczyny — były objawieniem dla europejskiego widza. Brak zupełny jakiejkolwiek sztuczności, bezpośredniość przeżywania aktora amerykańskiego, „samo życie" bez najmniejszego „teatralizmu" — oto, co stanowiło o tak kolosalnem powodzeniu amerykańskiego filmu, na początku wtargnięcia jego do kinoteatrów Europy.

Te trzy style, wytworzone przez narody rasy germańskiej (rzecz do pewnego stopnia charakterystyczna) — nie znalazły przeciwnika. Ani Francuzi, ani też Italia, mająca tak piękną kartę w historji teatru, jak również inne narody romańskie — ani nawet Rosja, nie dały w tej dziedzinie sztuki nic nowego aż do chwili, w której nastąpił rewolucyjny przewrót w „ustroju" X-tej Muzy — narodzenie filmu dźwiękowego.

I w owej przełomowej chwili mogliśmy zaobserwować rzecz niezwykle charakterystyczną i ciekawą. Na arenę sztuki filmowej zaczął wchodzić zwycięzkim krokiem film francuski. Okazało się, że Francuzom, którzy w niemych obrazach przejawiali stale przerost gestu i mimiki — emfazę i patos w realizowaniu odtwarzanej postaci — że Francuzom brak było słowa, z którem mogliby się podzielić „energją artystyczną", tak nieopanowaną i nieobliczalną w obrazach „srebrnego niemowy". Z chwilą powstania „talkes'u" Francuzi wchodzą do wielkiej rodziny dobrych filmów i miejsce zdobyte zczasem mocno gruntują. Wkońcu Rosja Sowiecka po wielu mniej, lub więcej nieudolnych próbach (niewyrobiona kultura artystyczna w pierwszych flmach sowieckich, „surowość" gry i reżyserji, brak umiaru, przewaga pierwiastku społeczno-wychowawczego w duchu ideologji komunistycznej nad pierwiastkiem estetycznym) stwarza szereg filmów o pierwszorzędnej wartości artystycznej, w których jednak nadal usiłuje utrzymać tendencje społeczno-wychowawcze, w duchu naturalnie specyficznie swoistym.

Anglja, trzymająca się do pewnego stopnia w dziedzinie filmu zasady „splendid isolation" — nie daje poznać całkowicie własnej produkcji — przynajmniej u nas, w Polsce. Dlatego też wstrzymuję się od jakiegokolwiek sądu w tym względzie. Jedno mogę podkreślić, że filmy angielskie, przezemnie oglądane (było ich zaledwie kilka) stały zupełnie na wysokości zadania, odznaczając się dobrą reżyserją, poprawną grą artystów i udatnymi scenarjuszami.

Obecnie, jak wieść niesie, film angielski wchodzi w nową fazę swego rozwoju i zapowiada się na przyszłość jak najlepiej.

W Polsce, mimo udźwiękowienia „niemowy", stosunki panujące w zakresie artystycznym — nie zmieniły się. Udźwiękowienie nie wywarło aż do ostatnich prawie czasów żadnego wpływu na poziom artystyczny produkowanych obrazów, w znaczeniu jego podniesienia. Marne scenarjusze, niski poziom gry (przeważnie teatralnej), słaba reżyserja (poza nielicznymi wyjątkami), wreszcie brak zainteresowania, wyczucia i zrozumienia korzyści, wypływających z eksploatacji przemysłu fil-

mowego — nie wróżyły na przyszłość nic dobrego i kazały powątpiewać w zdolność naszej w tej dziedzinie ekspansji.

Produkcji reszty krajów, wyżej nie wymienionych — wogóle nie można brać poważnie.

Rozważania powyższe nasuwają nieuchronnie konieczność podziału narodów na dwie zasadnicze klasy: na narody filmowe i narody niefilmowe. Przez nazwę „narodu filmowego" rozumiem naród, obdarzony „nerwem filmowym", wydający z siebie ludzi, którzy rozumieją i pojmują duszę przedmiotu, z jakim mają do czynienia — ludzi, odznaczających się specjalnym instynktem widzenia i realizowania akcji dramatycznej pod kątem wartości specyficznie kinowych. Ale to jeszcze nie wszystko. W kraju danym muszą się prócz tego znaleźć ludzie „z pieniądzmi", lub przemysłowcy, wyczuwający i rozumiejący korzyści, jakie z eksploatacji tej prawdziwej żyły złota wypływają. Te, wyżej wymienione czynniki, zespolone razem — mogą dać dopiero w sumie „rzecz", noszącą skromną nazwę: „przemysł filmowy" — a co za tem idzie: sztukę filmową, na odpowiedniej wyżynie stojącą.

Jak już powiedziałem wyżej — Polska do ostatniej prawie chwili nie dawała już żadnych nadziei, że wydobędzie się w tej dziedzinie z inercji, w jakiej dotychczas pozostawała. Siedemnaście lat, to dość duży szmat czasu, można było już wiele zrobić na tym zaniedbanym terenie. Ostatnio dopiero sprawiono nam miłą niespodziankę trzema filmami, które dziwnym zbiegiem okoliczności zaprezentowały trzy zasadnicze rodzaje sztuki dramatycznej: dramat, komedję i farsę. Są to filmy: „Młody las", „Czy Lucyna to dziewczyna" i "Antek policmajster". Nie będę z powodu szczupłości miejsca analizować dodatnich cech tych obrazów— ograniczę się jedynie do stwierdzenia, że filmy owe, to punkt zwrotny w naszej twórczości filmowej — stwierdzają bowiem, że na instynkcie filmowym nam nie zbywa. Ale instynkt sam nie wystarczy, jeśli w parze z nim nie pójdzie racjonalne szkolenie kadr zawodowych filmowców (reżyserów, operatorów, aktorów) i poparcie finansowe ze strony kapitału, szukającego nie rabunkowych i doraźnych, ale trwałych i godziwych zysków.

Adam Cyprian.

SHIRLEY TEMPLE ŚPIEWA I TAŃCZY.

Coraz częściej mamy okazję oglądania filmów, w których największe nawet sławy ekranu popisują się śpiewem. Przyznać jednak trzeba, że od czasu narodzin filmu dźwiękowego, nielicznym z pośród nich udało się śpiewem rozentuzjazmować publiczność kinową. Były to wypadki sporadyczne. Podobno rzadko byliśmy świadkami, aby melodja z jakiegoś filmu stawała się „przebojem". Ba, zdarzało się nawet, że mimo największego zainteresowania publiczności akcją niejednego obrazu, napięcie to prysło z chwilą, kiedy z ekranu zabrzmiała piosenka. Czemu to przypisać? Dlaczego publiczność (wszędzie bardzo muzykalna i żądna śpiewu) przyjmuje te produkcje oziębłe? Trudno tego dociec, gdyż przyczyną tego mogą być albo warunki głosowe danego aktora, czy rodzaj melodji, albo, co jest może najważniejsze, sposób „podania" publiczności tej piosenki.

Mistrzynią filmowej interpretacji śpiewu jest dzisiaj, mimo że najmłodsza wiekiem, jednak słynna już „gwiazda" ekranu, sześcioletnia Shirley Temple. Rozkoszne to dziewczątko o nieskazitelnie pięknej aparycji, przecudnej główce pokrytej puklami złotych włosów, o najwspanialszych, jakie tylko można sobie wymarzyć, oczach, przemiłym uśmieszku, jest właśnie jedną z tych nielicznych, której głos, płynący z taśmy filmowej, potrafi zelektryzować tłumy. Ta mała księżniczka ekranu śpiewa z takim wdziękiem, że publiczność nie znajduje dla niej słów zachwytu.

„Roześmiane Oczy", najnowszy film Shirley Temple, zrealizowany przez wytwórnię Fox Film, pokaże nam to cudowne dziecko w pełnej krasie wdzięku i talentu.



Shirley Temple w filmie „Roześmiane oczy" produkcji „Foxa", w którym ta genjalna „gwiazdeczka" stwarza kapitalną kreację. Fot. „Fox-Film".

WIELKI SUKCES JANINY WERNICZ.



W wznowionej, z okazji gościnnych występów Wandy Siemaszkowej, komedji G. Zapolskiej „Moralność Pani Dulskiej" niezwykły sukces odniosła p. Janina Wernicz świetną kreacją Juljasiewiczowej. Zarówno w zewnętrznem ujęciu tej postaci, jak i w psychologicznej charakteryzacji p. Wernicz dała piękny popis sztuki aktorskiej.

BENGALI.



Pułk lansjerów, biorących udział w filmie „Bengali“, którego akcja rozgrywa się w Indjach w Bengalu.

Wkrótce odbędzie się premjera wspaniałego filmu „Bengali“. Oto jego treść:

Na pograniczu Indyj stacjonuje 41 pułk Lansjerów Bengalskich. Dowódcą jego jest pułkownik Stone, dzielny żołnierz, ale zimny i nieubłagany służbista. W pułku dowódca był ogólnie szanowanym, ale nie cieszył się zupełnie sympatją.

Do Delhi zostają przydzieleni dwaj nowi oficerowie, porucznik Forsythe z pułku „Błękitnych“ i porucznik Stone, młody, świeżo upieczony oficerek, syn pułkownika Stone'a.

W imieniu pułku powitał ich porucznik Mac Gregor, mrukliwy, flegmatyczny Kanadyjczyk. Ironiczny i wesoły porucznik Forsythe i młody Stone zaprzyjaźnili się szczerze. Mac Gregor z matczyną troskliwością opiekuje się młodym Stonem. Mac Gregor nie wie, że pułkownik szczerze kocha syna, chociaż nigdy mu tego nie okazuje.

Pułkownik nie daje synowi żadnej okazji wykazania się swemi zdolnościami. Forsythe i Mac Gregor wyruszając na objazd, chcą skomunikować się ze szpiegiem angielskim, porucznikiem Barrettem. Mac Gregor chce zabrać na tę wyprawę Stone'a, pułkownik jednak nie pozwala chłopcu wyruszyć.

Pułkownik i Sir John Woodley, szef wywiadu, postanawiają przenieść pułk do Gopalu, aby sparaliżować plan buntowniczego wodza Afrydów, Mohammeda Khana.

W Gopalu są przyjmowani przez Emira. Na cześć angielskich gości zostaje przygotowana uczta, gdzie tańczą piękne bajadery, gdzie po raz pierwszy spotykają się oko w oko dwaj śmiertelni wrogowie, pułkownik Stone i Mohammed Khan, Afrylczyk z dyplomem uniwersyteckim.

Podczas kiedy dwaj wodzowie prowadzą ze sobą subtelny pojedynek na słowa..., oficerowie 41 pułku oczarowani są piękną Rosjanką — Tanią. Mac Gregor i Forsythe dowiedzieli się, że przybyła z Mohammedem Khanem, nie wie o tem jedynie młody Stone.

Sprytna Rosjanka, która była przyjaciółką Mohammeda Khana, postanawia wciągnąć młodego Stone'a w zasadzkę. W dzień polowania na dziki wsuwa mu w dłoń bilecik z wyznaczoną randką.

Pułkownik, który szczerze kocha syna, a nie potrafi się do niego zbliżyć, wzywa do swego namiotu Forsythe'a i Mac Gregora, chcąc prosić ich o pomoc. Jednakże nie może się zdobyć na to, by powtórzyć im swą prośbę. Gdy Mac Gregor i Forsythe wracają do namiotu, nie znajdują już chłopca. Młody Stone został porwany.

Jeżeli ojciec nie pospieszy mu z pomocą, zostanie skazany na straszną śmierć w torturach. Mohammed Khan wiedział, że syn pułkownika będzie przynętą, dzięki której cały pułk wpadnie w zasadzkę. Nie przewidział tylko jednego, że pułkownik ponad życie swoje i syna, kochał swój kraj ojczysty i gotów był dla niego do największych poświęceń.

Pułk został w Gopalu.

Napróżno Mac Gregor starał się nakłonić pułkownika. Został za niesubordynację ukarany. Wraz z Forsythem samowolnie opuszcza pułk, pragnąc uratować chłopca.

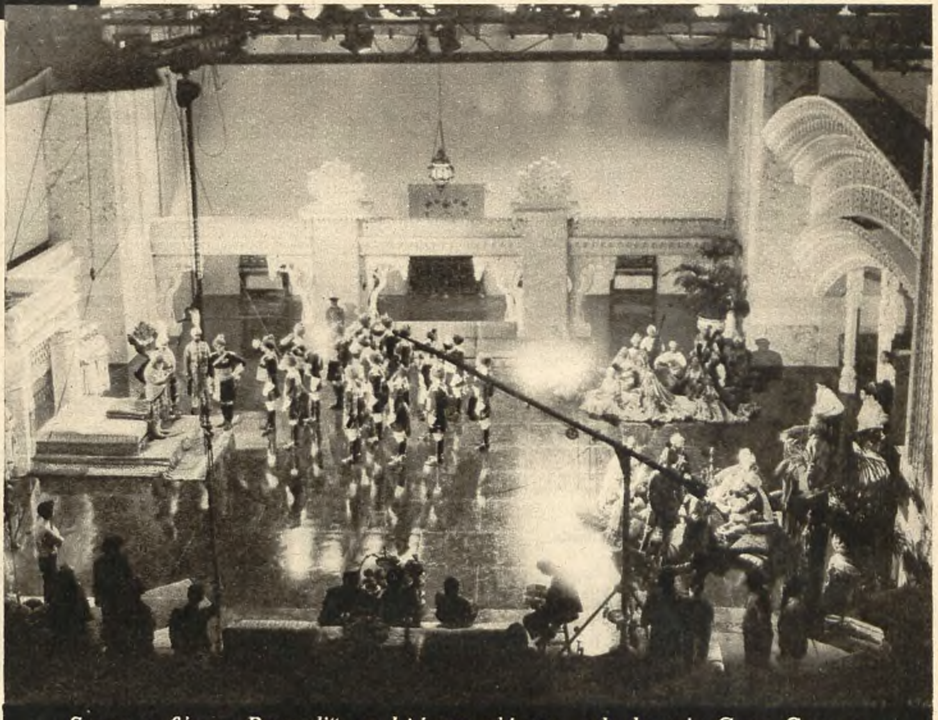
Przebrani za pielgrzymów Forsythe i Mac Gregor dostali się do twierdzy Mohammeda Khana. Podstęp nie przydał się, gdyż poznaje ich Tania. Mohammed zaprasza swych więźniów na kolację, gdzie obecnym jest również Stone.

Mohammed Khan przyrzeka im wolność pod jednym warunkiem. Mają zdradzić kiedy i którędy będzie przejeżdżać transport amunicji. Więźniowie odmawiają zeznań, wówczas Mohammed Khan próbuje bardziej radykalnych metod — tortur. Forsythe i Mac Gregor zmordowani znajdują się wreszcie w celi. Po chwili wtrącony zostaje tam i Stone. Chłopiec zrozpaczony przyznaje się towarzyszom, że zdradził ojczyznę.

W parę dni później do obozu przybywa tabor, witany wesołymi okrzykami Afrydów. To amunicja angielska! Mohammed Khan znajduje się u progu zwycięstwa!

Trzej lansjerzy nie dają za wygraną. Wiedzą, że teraz już pułkownik nie będzie się wahał i ruszy na Mohammeda Khana. Mac Gregor, Forsythe i Stone podstępem wydostają się z więzienia. Mac Gregor zdobywa się na czyn heroiczny. Wpada do składu amunicji i wysadza go w powietrze, ginąc pod gruzami. Stone, chcąc życiem przypłacić swój czyn, rzuca się na Mohammeda Khana. Lansjerzy zwyciężają. Bunt zostaje stłumiony w zarodku. Forsythe nakazuje Stonow'i by przemilczał przed ojcem o swej zdradzie, takie bowiem było ostatnie życzenie Mac Gregora.

W pięknym tym filmie biorą udział: Gary Cooper w roli porucznika Mac Gregora, Franchot Tone w roli Forsythe'a, Ryszard Cromwell w roli Stone'a, Sir Guy Standing w roli pułkownika Stone'a, Kathleen Burke w roli Tani. Film reżyserował Henry Hathaway.



Scena z filmu „Bengali“, w którym główną rolę kreuje Gary Cooper.
Fot. „PARAMOUNT“.

U ALEKSANDRA ŻABCZYŃSKIEGO.



Aleksander Żabczyński.
Inż. Stefan S. Gulanicki — Warszawa.

Aleksander Żabczyński. Sylwetka sympatyczna, przemiłego gentlemana w każdym calu. Niedarmo piastuje stały tytuł „króla mody“ na wszelkich wytwornych balach. Tymrazem interesuje nas Żabczyński, nie jako „król mody“, lub aktor rewjowy, ale jako aktor filmowy.

Gra bowiem główną rolę w filmie „Panienka z Poste Restante“. Film o tyle interesujący, że akcja rozgrywa się przeważnie zagranicą, a to w Austrji, na Węgrzech i wreszcie w Jugosławji. Pytamy Żabczyńskiego jak mu się podobała ta „wycieczka filmowa“.

— Muszę się panom przyznać, że wróciłem z Jugosławji zachwycony i oczarowany. Byliśmy bowiem, aż w Czarnogórzu.

— A zatem „kawałek“ wschodu?

— Nie tylko „kawałek“, ale prawdziwy wschód, bodaj czy nie bardziej charakterystyczny aniżeli Konstantynopol, który się w szybkim tempie europeizuje. Odwiedzaliśmy wsie zupełnie jak z powieści Karola Maya. Piękni mężczyźni, pełne temperamentu kobiety, wszystko to przytem garnie się z zapałem do gry filmowej. Udało nam się w Cetynji sfilmować paru „sirdarów“, t. j. książąt Czarnogórskich, w „pełnym rynsztunku“, t. zn. w pełnej zbroi, która kapie od złota i drogich kamieni.

— Jak przedstawiała się marszruta podróży?

— Przez Wiedeń, gdzie byliśmy parę dni, udaliśmy się do Jugosławji gdzie przepędziliśmy parę tygodni, następnie udaliśmy się do Wiednia, gdzie pozostaliśmy parę dni, właściwie ja byłem tylko dwa dni, gdyż po ukończeniu mojej roli wyjechałem do Polski.

— Zadowolony Pan ze scenarjusza?

— Bardzo ciekawy, i dający pole do popisu, ciekaw jestem bardzo premjery, która się niebawem odbędzie. Gram rolę młodego przemysłowca, który przez pomyłkę otrzymuje „w prezencie“ sekretarkę, poczem następuje szereg komicznych sytuacyj. Ale o tem dowie się pan z filmu. Cieszę się bardzo, że ten krótki wywiad ze mną ukaże się w Swiatowidzie, jestem bowiem gorącym zwolennikiem tego ślicznego pisma, a specjalnie jego znakomicie prowadzonego dodatku filmowego. Nawet w Jugosławji czytaliśmy co tydzień to pismo, szukając ciekawostek z kraju.

— A zatem do premjery, na którą czekamy niecierpliwie.



Alma Kar i Aleksander Żabczyński, bohaterzy filmu „Panienka z poste-restante“, którego akcja rozgrywa się przeważnie w Jugosławji.

„NIEWOLNICA Z MANDALAY"



Poza statystami filmu — wszystkie główne role zostały obsadzone przez aktorów z różnych krajów całego świata. I tak: Ricardo Cortez, jest Wiedeńczykiem, Warner Oland, znany z ról chińskich jest Szwedem, Rafaela Otiano, jest Wenecjanką i wreszcie Kay Francis, główna bohaterka jest Amerykanką. Film opowiada dzieje pięknej Rosjanki, sprzedanej na wschód przez człowieka, którego kocha.

Role dwóch brutali kreują Ricardo Cortez i Warner Oland. Film został osnuty na tle książki znanego w krajach anglosaskich Paula Harvey Foxa, pisarza egzotycznych książek, których akcja rozgrywa się przeważnie na wyspach malajskich.

Nieprzeciętnie ciekawa treść, gra aktorów i tło krajów egzotycznych, stworzyło z tego filmu świetne arcydzieło, którego premjera odbędzie się wkrótce na naszych ekranach. Reżyserem filmu jest znany Michael Curtiss. W rolach pozostałych ukażą się pierwszorzędne siły aktorskie. Wystąpią bowiem: Ruth Donelly, David Torrence, Lucien Littlefield, Herman Bing.

Przepiękna Kay Francis i Ricardo Cortez w filmie wytwórni Warner Bros i First National p. t. „Niewolnica z Mandalay".

Warner Bros i First National Films.



Kay Francis gra główną rolę bohaterki w filmie „Niewolnica z Mandalay".

Warner Bros i First National Films.

W atmosferze międzynarodowości obraca się film wytwórni „Warner Bros First National" pt.: „Niewolnica z Mandalay" (Mandalay). Akcja filmu odbywa się w Burnie z udziałem Malajczyków, Japończyków, Chińczyków, tancerek z Burny i wszelkich nacyj europejskich.

60 LAT NA POSTERUNKU.

Z dużą obawą brałem pióro do ręki, aby napisać coś Ludwikowi Solskiemu, na „nowy“ jubileusz 60-lecia pracy. Zasługi jego wypominane mu dzisiaj, onieśmielają mnie swymi rozmiarami.

Mam wrażenie, że znajduję się na walnem zebraniu Ligi Narodów, wobec tylu świetnych przedstawicieli różnych ras i genjuszów, z którymi poufałość jest trudna. A wszyscy oni niby Solscy, jakby jedna rodzina Cyklopów: i ten niemiecki Fryderyk, i rzymski Kaligula, i carski Samozwaniec, czy same już cary: Iwan i Paweł, i żydowski Judasz, czy francuski Harpagon, lub angielski sędzia Dogberry, a nawet delegat naszej nacji poczciwej, stuprocentowy sarmata — Łatka, bliscy sobie, a jednak jakże odrębne indywidualności. Aż ciarki przechodzą, gdy się któryś odezwie, niby głosem Solskiego, lecz każdy mówi innym językiem. Każdy z nich ma już swoją historję i bogatą biografję conajmniej tomową, powstałą z recenzyj o nich w nim, czy o nim w nich wypisanych, tak, iż, nawet komplementując ich, odgrywa się obecnie rolę delegata Litwy Kowieńskiej, który może mówić sobie, co chce, bo to się i tak nie liczy.

Ponieważ mi pozwolono, zabieram więc głos w tem świetnem Assemblé w tym celu, aby przekonać wszystkich o rzeczach doskonale znanych, że podstawą genjalności Sobieskiego jest jego pracowitość, podobno nieodłączna zawsze towarzyszka tej pierwszej.

Z nią to bowiem zetknąłem się zaraz przy pierwszem spotkaniu z osobą dzisiejszego jubilata, mając odrazu możność ujrzenia, jak się to pięknie mówi, jego „portretu psychicznego“.

A było to przed laty dwudziestu, data ważna dla stwierdzenia, iż w orbicie swej, był już Solski u tych szczytów horyzontu polskiej sceny, na których utrzymuje się już od półwiecza.

Otóż gdy przyszedłem wezwany przez ś. p. Lucjana Rydla na stanowisko t. zw. literackiego referenta w teatrze krakowskim (pod tym względem w Krakowie eksperymentowano wcześniej od Warszawy), trafiłem na przerwę w czasie przedstawienia „Wieczoru Trzech Króli“, granego z racji gościny Solskiego.

Zachodzę do kancelarji dyrektorskiej, którą po dłuższem kołataniu otwiera mi nosaty Chudogęba i mówi krótko zatrzasnąwszy na moim naturalnym, choć też niemałym nosie, drzwi: „potem, bo się uczę!...“

Siadłem na ławce i myślę sobie: czego się ten człowiek jeszcze uczy? — Ma swoje 60 lat życia, sławy zamagazynowanej w pamięci ludzkiej na drugie tyle czasu, różnemi językami mówi, jak sam słyszałem w wielu sztukach, liczy też podobno nie zgorzej... Przykro mi się przyznam zrobiło, że w teatrze tak się trzeba uczyć, gdyż ja mając być referentem literackim, od najwcześniejszej młodości nie czułem wielkiego do nauki przekonania.

— Czego on się uczy? — myślałem uporczywie o Solskim, załatwiwszy niepokój o sobie „jakoś to będzie!...“

— Chyba nie roli Chudogęby? — myślałem dalej — gra ją przecie od czterdziestu lat i końby się jej już nauczył i to od końca do początku...

A właśnie, że roli i to roli Chudogęby!!! — „hu! hu! hu!“ — przekonały mnie niezbicie urywki, słyszane przez drzwi.

Gdy później przez kilka lat usiłowałem na coś przydać się w teatrze, przekonałem się, jaki ten Solski mądry, że przy każdym występie uczy się na nowo Chudogęby. On go za każdym razem gra na świeżo z tą niekłamaną świeżością, która się i sali widzów i współgrającym udziela.

Za każdym bowiem razem wraca do roli na nowo, z nowym zapałem i świeżą pilnością, a ponieważ rola przeważnie się nie zmienia, więc za każdym razem ma sposobność wynaleść w niej coś nowego, czego jeszcze nie zauważył poprzednio. Możnaby powiedzieć, że nawet nie sztuka tak grać jak Solski, ale sztuka tak, jak on się uczyć, czyli mózg i umieć rozłupać każdą scenkę, zdańko, przecinek, domyślnik roli i tak nawet z każdej jej pestki wydłubać ziarnko zamierzonej przez autora myśli.

Nie każdy bowiem autor może być na próbach n. p. taki Szekspir czy Molier nie przerabiali swych sztuk na filmy, aby i gesty czy mimikę przekazać potomnym. Wszystko to musi sobie aktor z ich sztuk samodzielnie wygrzebać a na to trzeba czasu, zajętego obecnie wielu aktorom tak doniośle sprawami związkowemi, albo filmami...

Łatwo to Solskiemu przychodzi robić, bo gdy uczył się uczyć roli, Związku ani kin jeszcze nie było i aktor z biedy musiał siedzieć w teatrze, w braku więc lepszego zajęcia „przeżywał“ sobie rolę po kątach. Solski tak się do tego przez sześćdziesiąt lat przyzwyczaił, że teraz już inaczej nie może.

I tak jest podobno ze wszystkiem, co robi, iż w miejsce modnej dziś improwizacji, skrupulatnie po kawałeczku składa sobie jak z klocków całość — a ty, widzu, później nie wiesz, czy zły duch siedzi w Solskim, że tak ci się zmienia w każdej sztuce i tak wszystkie umie, jakby miał suflera pod marynarką.

A on się tylko uczy, no i ma talent, ale o tem to bardziej odemnie powołani powiedzą znacznie lepiej.

Albo i ten jubileusz, czy to też nie benedyktyński trick, tak sobie przez sześćdziesiąt lat, miesiąc po miesiącu, rok po roku, powtarzać: za 25 lat, za 40 lat, za 50 lat i t .d.: aż się uskładało, ktoby to potrafił.

Niejeden zniecierpliwi się wcześniej i po 10 latach święci już „srebrne gody ze sztuką“ i t. p. bo to ponoć nikt nigdy nie wie, co i jak...

Sześćdziesiąt lat, równa kopa! Daj Boziu wielu dożyć tej sumki, a Solski jak dawniej pokrzykuje sobie w masce Chudogęby: Hu! hu! hu! Teatr polski spokojnie może patrzeć w swą przyszłość — jeżeli mu się tacy Solscy rodzą.

Stefan Nowiński.



Zdjęcie z roku 1905, przedstawiające Ludwika Solskiego i T. Pawlikowskiego podczas ich pobytu w Kijowie.



Dary, złożone w hołdzie znakomitemu artyście z okazji Jego dawniejszych jubileuszów.

Fot. Jan Malarski — Warszawa.



Studjum Sichulskiego, przedstawiające L. Solskiego w tytułowej roli „Judasza“ K. H. Rostworowskiego, w którym Jubilat wystąpił w dniu Swego jubileuszu.



Przepyszny Harpagon w komedji Moliera „Skąpiec“, szczytowy wyraz genjalnej twórczości aktorskiej Solskiego.

Fot. Jan Malarski — Warszawa.

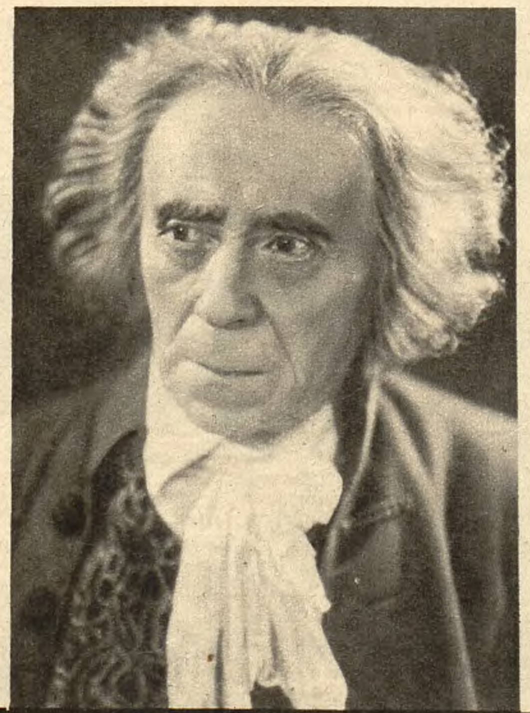


Ludwik Solski w swojem mieszkaniu przy ulicy Br. Pierackiego w Warszawie.



Wspaniała kreacja Jubilata, jako Łatki w komedji Al. hr. Fredry „Dożywocie“.

Fot. Jan Malarski — Warszawa.



Najnowsza wielka rola L. Solskiego: Stary Miller w tragedji Fryderyka Schillera „Intryga i Miłość“.

Fot. St. Brzozowski — Warszawa.



Niezrównany Jowialski w komedji Fredry pod tym tytułem, jedna z klasycznych ról Jubilata.

Fot. Jan Malarski — Warszawa.



Jeden z ostatnich etapów scenicznych triumfów Solskiego: Filip II. w tragedji Schillera „Don Carlos“.

Fot. Jan Malarski — Warszawa

TEATR MIEJSKI W SOSNOWCU.



Jerzy Gołaszewski, dyrektor Teatru Miejskiego w Sosnowcu.

Trudno uwierzyć, że Sosnowiec, stolica przemysłowego Zagłębia, rojącego się od kominów hutniczych i zwałów węgla, posiada tak dawne tradycje teatralne, bo sięgające aż 1902 r. Wówczas, oczywiście, charakter tego teatru — mieszczącego się w szopie — pozbawionego najniezbędniejszych akcesorjów teatralnych, na scenie którego występowali obok zawodowych aktorów amatorzy, był zgoła inny, aniżeli obecny. Co prawda, Sosnowiec nawet obecnie nie może się poszczycić pięknym gmachem teatralnym, ale to, co się dzieje i jak się dzieje na scenie, wynagradza ten wielki bądźcobądź brak. Przedewszystkiem jest to Teatr Miejski. Ambicje jego sięgają jednak jeszcze dalej, to też zadania sceny miejskiej połączył z objazdami. Sięgnąć do najdalszych osiedli i kolonij, luźno związanych z Sosnowcem, stało się jednem z naczelnych zadań obecnego teatru. Toteż dziś przedstawienie odbywa się w Sosnowcu, jutro w Dąbrowie, potem idzie kolej na kolonje Niemce, Saturn, Piaski, nie mówiąc o większych miastach, jak Będzin, Zawiercie, Czeladź i Olkusz. Raz cały zespół artystów zaryzykował nawet wyjazd do Kielc, gdzie wystawił z dużem powodzeniem kilka sztuk.

Na drodze głoszenia ze sceny żywego słowa, przemawiającego najsilniej do uczucia, wyobraźni i intelektu słuchacza, przeszedł Teatr Miejski różne i ciężkie koleje. Z jednej strony brak było swego czasu dobrych wykonawców, bo któżby to chciał występować na deskach sceny sosnowieckiej. W wielkiej mierze była temu winna często niezrozumiała niechęć samej publiczności, która nieufnie odnosiła się do własnego teatru i nie potrafiła dźwignąć go swem poparciem na wyżyny. Trzeba było zbiorowego wysiłku społeczeństwa, świadomego doniosłej roli kulturalno-oświatowej sceny wraz z dyrekcją oraz zespołem artystów, by dać Teatrowi Miejskiemu należne stanowisko. Dziś, jak przed 30 laty, jak niektórzy powiadają, za dawnych dobrych czasów, każdy chętnie śpieszy do teatru, który doborem sztuk jak i grą zespołu artystycznego dorównywa niejednej scenie wielkomiejskiej. Dość wymienić: „Dzień jego powrotu“ Nałkowskiej, „Smaczny chleb kłamstwa“ Winawera, „Ten i Tamten“ Kiedrzyńskiego, „Rodzinę“ Słonimskiego, „Typ A“ Morozewicz-Szczepkowskiej i ostatnio wystawioną „Balladynę“ Słowackiego z rodzimego repertuaru, z obcych zaś „Mezaljans“ Shaw'a, „Cień“ Niccodemiego“, „Sen nocy letniej“ Szekspira, „Cudze dziecko“ Szkwarkina i „Gołębie serce“ Galsworthy'ego i wiele innych sztuk. Szczególnie ciekawie był wystawiony „Sen nocy letniej“ w oryginalnej inscenizacji dyr. J. Gołaszewskiego. Trudno nie wspomnieć tu o znakomitej kreacji „dziedzicznie“ utalentowanej artystki Zelwerowiczówny w roli Pigwy. Z wielkiem uznaniem publiczności spotkała się również sztuka Niccodemiego „Cień“, w której rolę tytułową Berty odegrała bardzo zdolna artystka Królikowska, ostatnio, niestety, rzadko ukazująca się na deskach scenicznych w większych rolach. Ciekawą postać matki w sztuce „Stefek“ Devala stworzyła p. Sokolicz, tytułową rolę w „Balladynie“ Słowackiego p. Gersonówna. Gra p. Gołaszewskiej i p. Balcerzaka w rolach tytułowych w komedji „Jim i Jill“ stała na wysokim poziomie.

Na czele teatru stoi dyr. J. Gołaszewski, utalentowany aktor, reżyser i dekorator.



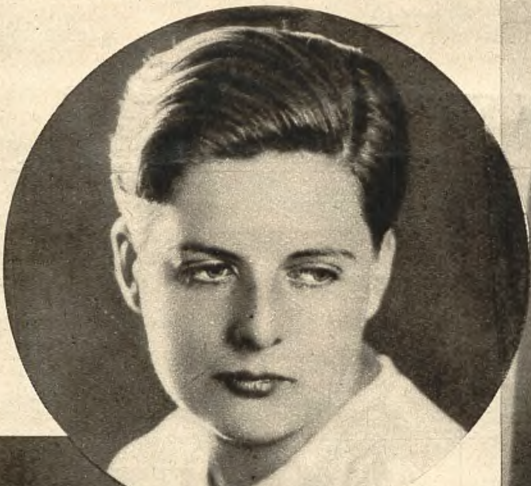
„Cień“ Nicodemi'ego na scenie Teatru Miejskiego w Sosnowcu (Królikowska).



Józef Pelszyk, sekretarz Teatru Miejskiego w Sosnowcu.



„Karuzela miłości“ na scenie Teatru Miejskiego w Sosnowcu (Gołaszewska i Balcerzak).

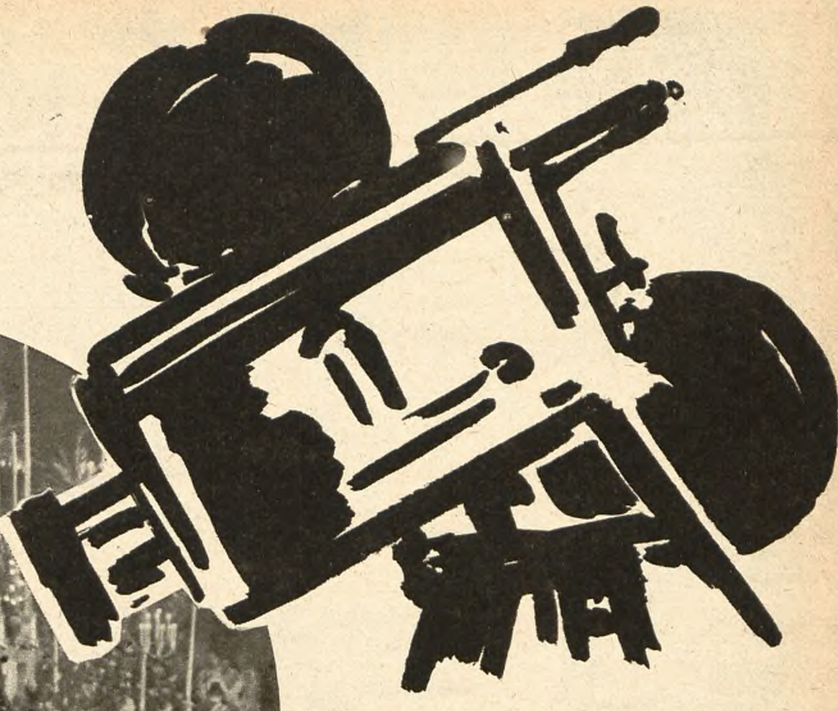


Helena Zelwerowiczówna, reżyserka Teatru Miejskiego w Sosnowcu.



„Sen nocy letniej“ Szekspira na scenie Teatru Miejskiego w Sosnowcu.

Film



NA USŁUGACH KOŚCIOŁA.



Kardynał Verdzier idzie wśród szeregu klęczących alumnów (z reportażu filmowego Alexandre'a).



Kardynał Verdzier prowadzony uroczyście do ołtarza (z reportażu filmowego Alexandre'a).

Początkowo Kościół zajmował wobec filmu stanowisko niechętne i wyczekujące, a nawet wręcz nieprzyjazne. Działo się to dlatego, ponieważ pierwsze filmy były przedewszystkiem propagandą zbrodniczości. Najwięcej bowiem popłacały obrazy, w których roiło się od zbrodniarzy i czarnych charakterów, cała zaś akcja była przepojona niezdrową sensacją.

W epoce filmu niemego raz tylko zaszedł wypadek współpracy Kościoła z reżyserem filmowym, mianowicie przy realizacji arcyfilmu p. t. „Król królów", w którym Cecyl de Mille odtworzył życie i Mękę Chrystusa. Film ten, realizowany z niesłychanym nakładem kosztów, do dziś dnia zachował swą świeżość i cieszył się olbrzymiem powodzeniem na obu półkulach. Wówczas to kierownicze czynniki Kościoła, kierujące Akcją Katolicką zrozumiały, że dobry film katolicki może być dobrą propagandą ideologji chrześcijańskiej. W ostatnich czasach na tem stanowisku stanął nawet sam Ojciec św., wydając polecenie prasie katolickiej, aby zamieszczała regularne sprawozdania z przedstawień filmowych i polecała takie, które nie stoją w sprzeczności z zasadami moralności i dobrych obyczajów.

Pod nadzorem Akcji Katolickiej nakręcano także w Polsce film p. t. „Przeor Kordecki", a we Francji „Golgotę". Ostatnio zaś kamera filmowa weszła nawet do kościoła, za zgodą arcybiskupa Paryża, kardynała Verdier'a. Stało się to w kościele Saint Sulpice w czasie wyświęcania alumnów na księży. Cała ta uroczystość została sfilmowana wedle wskazówek reżysera Alexandre'a, tego samego, który nakręcił tak doskonały film francuski o Pomorzu, a także reportaż z życia Trapistów.

(Ciąg dalszy na str. 28-ej)



Kardynał Verdier na tronie (z reportażu filmowego Alexandre'a)



Alumni, śpiewają leżąc krzyżem (z reportażu filmowego Alexandre'a).



Ojciec św. w swoim gabinecie pracy.

FILM NA USŁUGACH KOŚCIOŁA.

(Ciąg dalszy ze str. 27).

Największą jednak rewelacją jest wielki film, nakręcony na terytorjum Państwa Watykańskiego p. t. „Wielkie Misterjum Watykanu", w którym bierze udział sam Ojciec św.

Jest to film dokumentarny, obrazujący życie Ojca św. i jego najbliższych współpracowników, jak n. p. podsekretarza stanu, kardynałów, itd. Wszyscy ci dygnitarze wystąpią w swym oficjalnym charakterze.

Widz zobaczy więc Ojca św., odprawiającego Mszę św., odbywającego przechadzkę po słynnych ogrodach watykańskich, słuchającego referatu, przyjmującego pielgrzymów na audjencji, niesionego na tronie w uroczystej procesji i udzielającego błogosławieństwa „urbi et orbi".

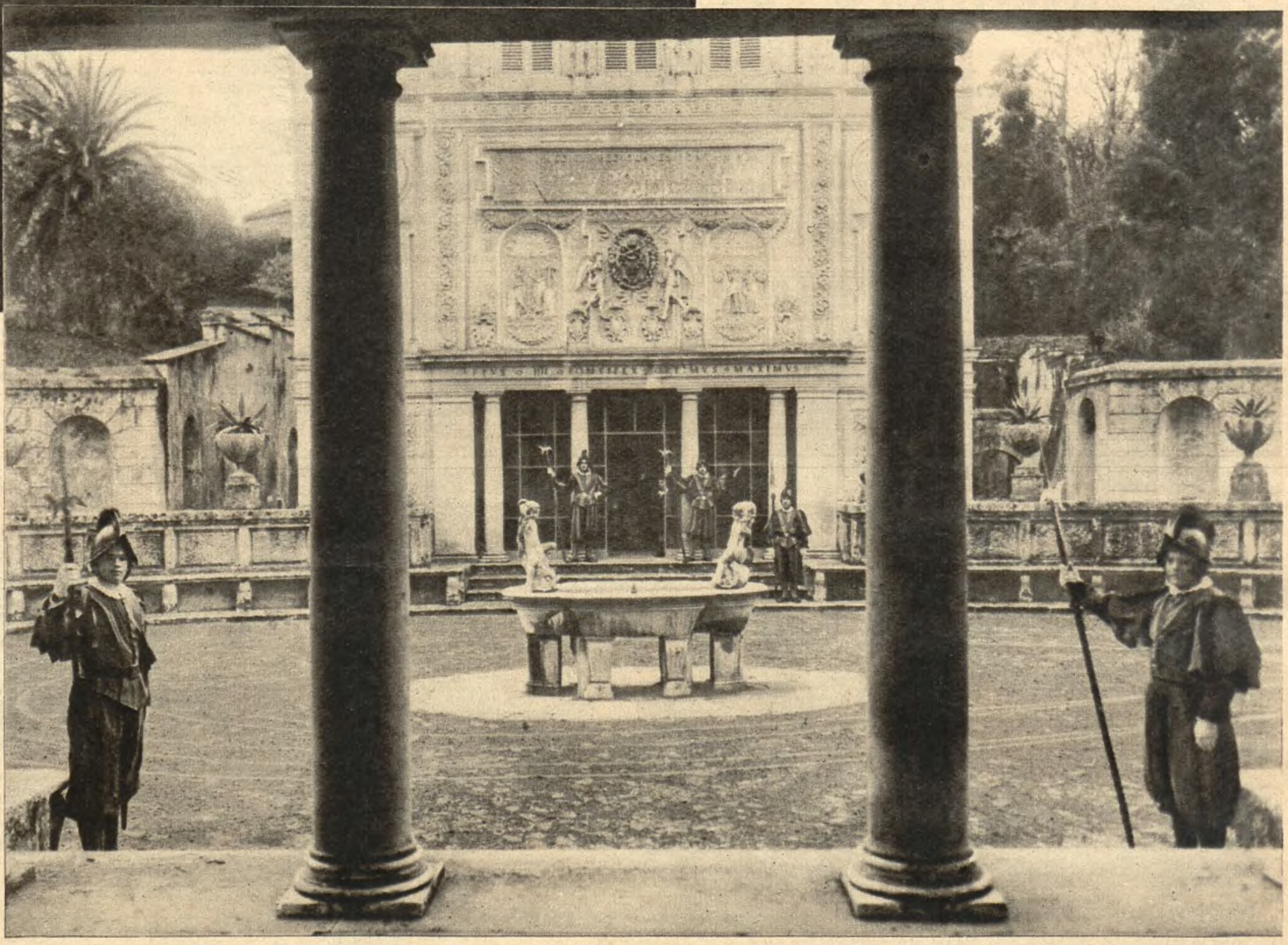
Uwiecznione zostaną także na filmie bezcenne skarby sztuki watykańskiej, np. kaplica Sykstyńska, bibljoteka, galerja obrazów, wnętrza kościołów, itd.

Postarano się także o ilustrację muzyczną tego filmu. Usłyszymy więc srebrne trąby kościoła św. Piotra, na dźwięk których, ludność zgromadzona przed katedrą pada na kolana. Dalej usłyszymy chór chłopięcy „Capella Sixtina" i partje na organach, wykonane przez arcymistrzów z Bazyliki św. Piotra.

Do filmu zostaną także włączone fragmenty zdjęć z Roku Świętego, kiedy to w Rzymie bawiły setki tysięcy pątników z całego świata.

Premjery „Wielkiego Misterjum Watykanu" były naznaczone na Wielki Tydzień. Na osobiste polecenie Ojca św. premjery te mają być połączone z wielkimi manifestacjami religijnemi ze strony najszerszych warstw publiczności, przy udziale i pod przewodnictwem kardynałów, biskupów, itd.

W ten sposób film katolicki wkracza na zupełnie nowe tory: zawiera bowiem z Kościołem nierozerwalny sojusz i staje się czynnikiem jego propagandy.



Wejście do rezydencji letniej Papieża w Watykanie.



Papież, niesiony na „Sedia gestatoria" do Bazyliki św. Piotra.



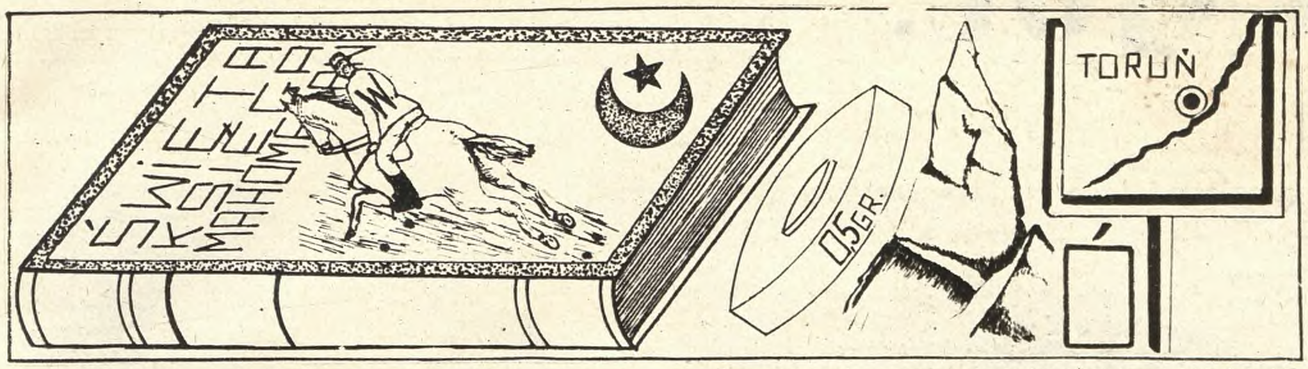
Szwajcarska gwardja watykańska.

Wszystkie zdjęcia Fot. FRANCIS C. FUERST — WIEN.

Rebus.

(ułoż. J. Alis — Warsz. Kl. Szarad.)

Na treść rebusu składa się siedem wyrazów, o początkowych literach: P, n, w, d, z, i, ś.



Alleluja!

SZARADA AKTUALNA.

Napisał A. Mieczkowski z Wilna — Warsz. Klub Szarad.

Na Zmartwychwstanie biją dzwony
niosąc po świecie zew radosny!
Raz-czwarte słowo w dusz miljony
przenika wraz z powiewem wiosny!
„Chrystus zmartwychwstał"! szumią drzewa
jak świat jest długi i szeroki,
„Chrystus zmartwychwstał"! ptaszę śpiewa,
śląc hymn radości pod obłoki, —
czwór-piąte-szóste mamy chwile
i **sześć-dwunastych** wyschły ślady!
Dziesięć-czternasta *) z nieba miłe
patrzy, śląc ku nam promień blady!!
Trzynasta oraz **jedenasta**
„strumieni naszych rodzicielka",
w potężne kształty nam wyrasta
i jest jak Wisła prawie wielka!
Jej dobroczynna wilgoć zrosi
dotychczas **siódme-szóste** pola,
aż zbóż łanami się rozkłosi
raz-tuzin i czternasta rola.
Zakwitnie **piąta-jedenasta**
(przybysz niedawny hen ze Wschodu),
i innych roślin płodna kasta
pól, błoni, lasów i ogrodów.
Trzynaste-drugie ślady w lesie
znikły pod tchnieniem ciepła wiosny,
która w podarku dla nas niesie
ożywczy balsam polskiej sosny.
Na Zmartwychwstanie biją dzwony
Boga-Człowieka i przyrody!
Głos ich rozbrzmiewa na wsze strony, —
głos zmartwychwstania, głos swobody!
Dziewięć-trzeciego zciąga z łoża
co **dziewięć-jeden** w dzień i w nocy.
A taka w głosie tym moc Boża,
że większej nad nią niemasz mocy!
Na Zmartwychwstanie!... Alleluja!...
Do życia kwiatek pąk rozwija...
Zakwitnie wkrótce lipa, tuja,
róża, tulipan i lilija...
Wspak ósme i dziewiąte puste
tylko z tych wrażeń nic nie mają, —
dla nich to słowa **siódme-szóste**,
dla nich coś czuć — jest wbrew zwyczajom!
Tuzin-czternaście-dwa-trzeciego
niema to wszak dla serc ich z drzewa,
że kraj od Tatr ku morza brzegom
„**Osiem** do **jedenastu**" śpiewa!

*) po łacinie.

Za rozwiązanie powyższych dwóch zadań redakcja „Światowida" przeznacza

TRZY NAGRODY.

Pierwsza zł. 20.—, druga zł. 10.—, trzecia prenumerata miesięczna „Światowida" od 1—31. V. 1935.

Rozwiązanie należy nadsyłać najpóźniej do dnia 27 kwietnia 1935 wraz z załączonym kuponem.

Rozwiązanie z Nr. 13.

SZARADA: WIOSNA ZESZŁA Z NIEBA, PRZYWITAĆ JĄ POTRZEBA.

REBUS: REBUSOWY ŻART APRILISOWY.

Trafne rozwiązanie zagadek N-ru 13 nadesłali:

H. Górkiewiczowa, Mińsk Mazowiecki; Leon Bieniasz, Lwów; Władysław Bieniasz, Lwów; Stefanja Szafrańska, Poznań; dr. Helena Opielińska, Środa; Leon Szafrański, Poznań; K. Stańczyk, Dubno; Adolf Klohes, Kraków; „Kora", Kraków; Bolesław Kurowski, Warszawa; Marjan Jagusiński, Kraków; Jerzy Sass, Krzeszowice; Franciszek Skowyra, Szarlej; „Wilnianin", Dubno; Stanisław Sztanderski, Skarżysko-Kamienna; Józef Pągowski, Kraków, Kazimierz Mirowski, Katowice; St. Mikowska, Warszawa; Zygmunt Tietz, Warszawa; Jadwiga Gapińska, Bydgoszcz; Marja Ziółkowska, Poznań; Zbigniew Kowal, Stołpce; Adam Petak, Lwów; Bogusia Mendralówna, Rzeszów; A. Pieńkowski, Kościan; Zugmunt Bezucha, Sanok; Jan Nieć, Sanok; Jan Badura, Szopienice; ks. Juljan Arlitewicz, Skotniki; J. Alis, Warszawa; Marjan Taras, Stryj; Jan Obtułowicz, Żywiec; L. Rudkowski, Ciężów p. Bednarów (zł. 20.—); Józef Ruta, Wieluń; Natalja Sobolewska, Lublin; Józef Wilkowicz, Mielec; Ewa Brzozowska, Warszawa; Jadwiga Świerczyńska, Lwów; Leszek Sowiński, Chorzów I.; Teofil Sobecki, Poznań; Marja Strubel, Warszawa; N. Kazimierz Kozłowski, Warszawa; inż. Zygmunt Słowikowski, Warszawa; Aleksandra Wałkówna, Kraków; Józef Stefańczyk, Pabjanice; Zdzisław Pałuszyński, Pabjanice; Kazimierz Pycio, Pabjanice; Jerzy Bielesz, Kraków; Karol Marcinkowski, Kartuzy; Adam Bochniak, Tarnobrzeg; Józef Urban, Andrychów; Zaręba Bronisław, Brzeziny; Seweryn Mordawski, Limanowa; B. Ramułtowa, Jeżów; Kazimierz Książek, Mielec; K. Ćwiertniakówna, Zakopane; Irena Ćwiertniakówna, Zakopane; Władysław Dobrzański, Przemyśl; Boyar Punawko, Mochy; Franciszek Sarana w Wojsławiu; Z. Ptaszyńska, Oświęcim; Tomira Borowska, Zwierzyniec; „Bebe", Baranowicze; Marja Gawryleni, Baranowicze; ks. Leopold Klementowski, Tarnopol; Mery Piwowarczykowa, Borysław; Klub Pracowników „Gazolina" Borysław; Lidja Sasówna, Kraków; Alfreda Świtkowska, Lwów; A. Leitner, Kraków; Janina Gilowa, Warszawa; Maryla Bartoszewska; Irena Piwarska, Warszawa; Władysław Pędzimąż, Zakopane; Tadeusz Marjan Kutrzeba, Mielec; Marek König, Stryj; Janina Trznadlowa, Zakopane; Jan Spisak, Kraków; Czesław Majchrzak, Poznań; Wacław Tyblewski, Poznań; A. Jakubowicz, Warszawa; Jerzy Zapiór, Kraków; por. Jerzy Lüdtke, Dawidgródek; Leon Krukowski, Jarocin; Jerzy Liedtke, Strzałkowo; Edward Szwarc, Częstochowa; Hanna Radziejowska, Poznań; Edward Kutynia, Krzepice; Danuta Grabowska, Częstochowa (zł. 10.—); Marjan Jachimowicz, Kraków; Kazimierz Wojciechowski, Wieluń; Hanka Cieślikówna, Kraków; Janina Burzyńska, Szamotuły; Zofja Maksymowiczowa, Lwów; Z. Śmieciuszewski, Zwierzyniec n. Wieprzem; Mirosław Rybicki, Zwierzyniec nad Wieprzem; Marja Baworowska, Klimiec; W. i M. Rzemyszkiewiczowie, Rydzyna, Kazimiera Niedziałkowska, Chorzów; Marja Stecułówna, Kalisz; Karol Starzycki, Chorzów I.; Irena Senze, Żychlin; Stanisław Tymec, Kraków; Michał Stefański, Wola Duchacka; Marysia Janecka, Lwów; Adolf Wałach, Rybnik; Ryszard Biczek, Rybnik; Follek Rajmund, Rybnik; Stefan Kornaszewski, Inowrocław; E. Rozenberżanka, Brzeziny; Henryk Ostrowski, Brzesko; Janina Szeremetowa, Lwów; Roman Machoń, Rudnik; Włodzimierz Roger Tyszkiewicz, Poznań; Alfred Nowakowski, Toruń; Czesław Kozłowski, Warszawa; Irena Danekerówna, Nowy Rembertów; Janina Iskrowicz, Stanisławów; Leonard Zorawowicz, Mołodeczno; Stanisława Beksińska, Sanok; Zofja Lasocka, Warszawa; L. Turówna, Chorzów I.; Karol Szybist, Chorzów; Barbara Teisseyre, Warszawa; Roland Król, Przemyśl; Jan Sobczak, Przemyśl; Marzenka Królówna, Przemyśl; Witold Majewski, Warszawa; X. X., Rawicz; Andrzej Orszański, Kraków; Karol Woldrich, Stanisławów; Włodzimierz Kudasiewicz, Dąbrowa Górnicza; Karol Suchanek, Węgierska Górka; Czytelnia T. S. L., Węgierska Górka; Prenumerator z Daniicza; Kazimierz Hanus, Nadwórna; E. Stanowska, Otynja; Stanisław Dubicki, Zwierzyniec nad Wieprzem; Stena Rosiekówna, Kraków; Henryk Wajntreter, Łódź; Stanisław Kamiński, Łódź; Anna Śmigielska, Wesoła; Jan Małolepszy, Warszawa (prenumerata miesięczna „Światowida" od 1—31 V. 1935); Paweł Śmigielski, Wesoła; Janina Pijanowska, Warszawa; M. Zozuniówna, Warszawa; Leontyna Lenobel, Lwów; Wł. Jankowski, Żywiec; Anna Loeglerówna, Lwów; Marja Dohnalikówna, Lwów; Krystyna Rudlicka, Słonim; Zofja Żukowa, Jędrzejów; Józef Maziarz, Ozorków; Wł. Wojtczakowa, Ozorków; por. W. Szamowski, Łódź; Marja Wilińska, Kraków; Fr. Łukasiewicz, Wilno; Basia Bytomska, Cieszyn; Michał Adamczyk, Siedlce; „Maryśka z Pohulanki"; „Datura"; Stanisław Kasieborski, Augustów; Kazimierz Rotter, Otynja; Jasia Markowska, Warszawa.

Nagrody otrzymali pp. L. Rudkowski, Ciężów (zł. 20.—), Danuta Grabowska, Częstochowa (zł. 10.—), oraz Jan Małolepszy, Warszawa (prenumerata miesięczna „Światowida" od 1—31 V. 1935).

Nagrody pieniężne redakcja „Światowida" prześle niebawem.

ZJAZD WŁAŚCICIELI NIERUCHOMOŚCI MIEJSKICH W WARSZAWIE.



W ub. miesiącu odbył się w Warszawie Nadzwyczajny Zjazd Przedstawicieli Stowarzyszeń Własności Nieruchomej Miejskiej z całej Polski, przy udziale przedstawicieli rządu z p. min. Korsakiem na czele. Na zdjęciu widoczni od lewej w pierwszym rzędzie: prokurator Jaszczurowski w imieniu Ministerstwa Sprawiedliwości, dyr. Kirkor w im. prezydenta m. Warszawy, nacz. Stolzenwaldt w im. Ministerstwa Skarbu, wicemin. Sprawiedliwości Korsak, dr J. Zawadzki, nacz Tarnowski w im. komisarza Rządu m. Warszawy, poseł Wierzbicki w im. Klubu B. B. W. R.

„Foto-Prasa", Warszawa.

Humor.

Altruista.



Chciałbym dać panu dobrą radę...

Simplicissimus.

W tramwaju.



KONDUKTOR: ...i dwadzieścia pięć groszy za pakunek!

GOŚĆ (zgłupia frant): Za jaki pakunek??

Nieopatrzny.



— Czy miał pan dobrodziej bułeczki?
N. .nie...

(K. Il Zeitung)

Ultimatum.



— Jeżeli mi nie pożyczysz pięciu złotych, zastrzelę się, a ponieważ jesteś moim przyjacielem, wieniec będzie cię kosztował conajmniej piętnaście złotych!...

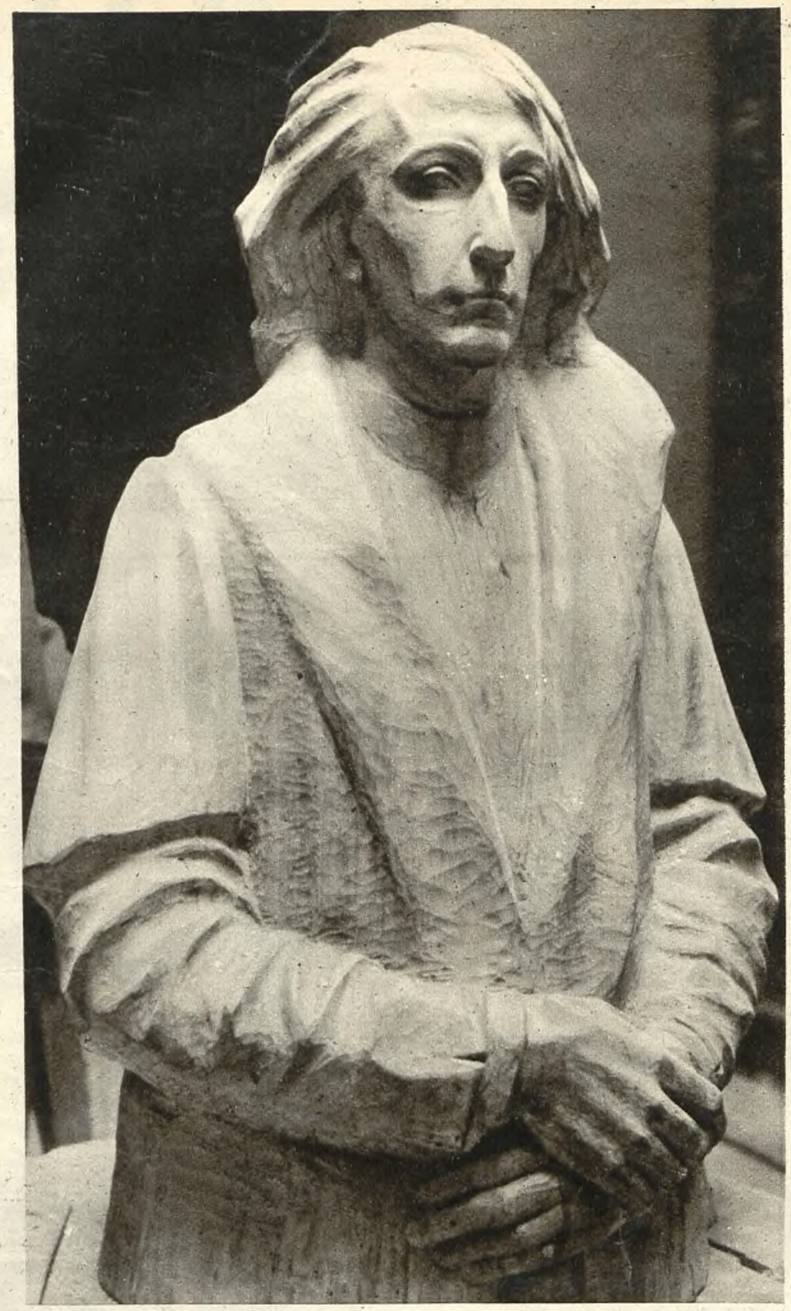
ADOLF MENJOU.



Najelegantszy mężczyzna świata, w swej najnowszej kreacji.

KUPON Nr. 16 *upoważniający do losowania nagrody za rozwiązanie zagadek z dnia 20 kwietnia 1935.*

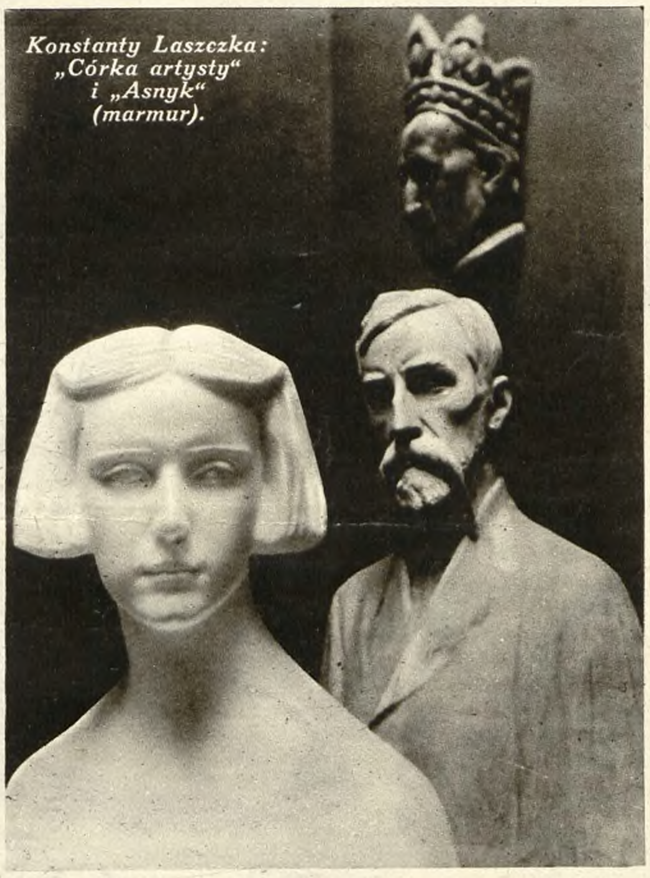
WYSTAWA DZIEŁ KONSTANTEGO LASZCZKI
W PAŁACU SZTUKI W KRAKOWIE



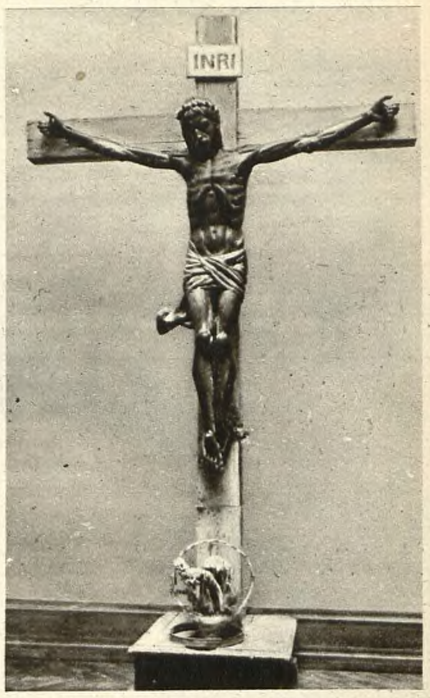
Konstanty Laszczka: „Mikołaj Kopernik" (drewno).

Profesor Konstanty Laszczka, który od 1900 r. piastuje katedrę rzeźby w Akademji Sztuk Pięknych w Krakowie, urządził zbiorową wystawę dzieł, znakomicie odzwierciedlającą potężny talent artysty. Na wystawie znajduje się szereg przepysznych jego portretów, z repliką biustu p. Fałatowej na czele, portrety córki, literata W. Noskowskiego, świadczące o wysokim poziomie portretowej sztuki Laszczki.

Artysta żyje związany nierozerwalnie z światem naszej poezji i historji. Dowodem tego szereg własnych koncepcyj portretów Szopena, Mickiewicza, Słowackiego i Kopernika, nawskróś przenikniętych indywidualnością artysty. Podziw wzbudza wielostronność techniczna prof. Laszczki, który każde dzieło zwycięsko tworzy sam w materjale, nie obawiając się żadnych technicznych trudności. Ostatnie jego prace, wykonane w granicie belgijskim, jak biust Szopena i portret własny, świadczą o niezwykłej żywotności i sile tego artysty, który opanował swe rzemiosło w tym stopniu, jak to bywało tylko u artystów Odrodzenia. Laszczka tworzy swe dzieła w alabastrze, drzewie, glinie i granicie a specjalną troską otoczył dział ceramiki. Możemy powiedzieć, iż prof. Laszczka w Polsce wprowadził ceramikę artystyczną i pierwszy wybudował własnym kosztem w Akademji piece do wypalania artystycznej ceramiki. W ceramice stwarza Laszczka legendarny świat słowiański, w oryginalnem, fantastycznem ujęciu. Przemyślana w tej ceramice jest nietylko forma plastyczna, ale i wyrażana intelektualna treść. Każda jego rzeźba, to głębokie przeżycie twórcy.



Konstanty Laszczka: „Córka artysty" i „Asnyk" (marmur).



Konstanty Laszczka: „Chrystus na Krzyżu".

Prof. Laszczka włożył maksimum napięcia duchowego w swe kapitalne dzieło, figurę Ukrzyżowanego, któremu nadał rysy słowiańskie, symbolizujące męczeństwo Słowian. Wysoki poziom artystyczny cechuje zarówno liczne jego płaskorzeźby, jak i wykwintne medaljerstwo.

Aczkolwiek prof. Konstanty Laszczka stworzył szereg pomników w Polsce, to jednak talentu artysty nie wyzyskano w stosunku do jego możliwości. W pracowni artysty znajduje się mnóstwo znakomitych monumentalnych projektów, niezrealizowanych dotychczas. Artysta całe życie nie myślał o realizacji własnej twórczości, lecz poświęcił je pracy pedagogicznej. Prof. K. Laszczka wychował niemal wszystkich żyjących współczesnych naszych rzeźbiarzy, którzy otaczają go zawsze z wdzięcznością i czcią. Twórczość Laszczki stanowi epokę w dziejach rozwoju naszej rzeźby.

M. D. D.



BEZPŁATNE PORADY
Z DZIEDZINY KOSMETYKI, HIGJENY I KULTURY FIZYCZNEJ — *pod redakcją*
MARY MAYER
kierowniczki szkoły i atelier kosmetyki
WARSZAWA, AL. SZUCHA 4.

DOLORES Z ROHATYNA. Pani Dolores pisze ciekawie, zajmująco. Trapią ją piegi, używa całego szeregu środków, te nawet nie są złe. Jakoś zawsze pomogą! Ale Pani „Dolores" chciałaby mieć jeszcze piękniejszą skórę — więc pod koniec listu woła: **„Wierzę w Boga oraz w pomoc Wielmożnej Pani"**. Credo Pani Dolores tak mi się podobało, że nie mogę nie podzelić się niem z Kochanemi Czytelniczkami. Dwie są na świecie rzeczy, w które wierzy Pani Dolores: w moją pomoc i w Pana Boga. Pani Dolores nazywa mnie jeszcze „ostatnią deską ratunku". — Moja prośba do Pani Dolores, ażeby na przyszłość wybierała sobie „deski" trochę bliżej swojego miejsca pobytu. — Ja proszę Pani, bez zaklęć, bez nawoływań i porównań zawsze odpowiadam i posyłam naprawdę dobre przepisy bez względu na to, czy list będzie obfitował w zwroty, niekiedy dla mnie kłopotliwe. Maść na piegi należy stosować dwa lub trzy razy (w formie całej kuracji) w ciągu roku: na wiosnę, pod koniec lata i pod koniec jesieni. Przepis na maść podaję: Rp. Lanolini 5,0, Vaselini 10,0, Hydr. peroxyd. 20,0, Hydr. sublim. 0,05, Bismuthi oxychlor. 0,5. Poza tem puder powinien zawierać chininę. Przepis: Rp Natri bicarb. 5,0, Chinini sulf. 0,5, Talci cosmetici 20,0, Amyli orysae 10,0, El. euc. 0,1. Spirytus salicylowy może Pani stosować w celu odtłuszczenia nosa. Przydałby się poza tem preparat, rozpuszczający warstwę zrogowaciałego naskórka.

PANI Z. GRZEWIŃSKA. Pisze Pani, że ma Pani ochotę skorzystać z moich wskazówek racjonalnej pielęgnacji, tylko nie wie Pani na jakich warunkach można z niej skorzystać. Na łamach „Światowida" odpowiadam bardzo chętnie i całkowicie bezinteresownie.

PAN M. K. KRAKÓW. Na to, ażeby orzec czy włosy Pańskie odrosną po wypadnięciu, należy zbadać włosy i cebulkę włosa. Na odległość jest to niemożliwe, zwłaszcza, że stosował już Pan cały szereg środków i zabiegów. Może będąc w Warszawie, zechce Pan łaskawie zgłosić się do nas.

PANI ZYGO. Meszek z brody i włoski usunąć za pomocą pincetki radykalnie nie jest możliwem. Jedynie zabieg elektrolizy, dokonany wprawną ręką lekarza-specjalisty — daje rezultaty pozytywne. Poza tem istnieją preparaty woskowe, które oblepiają włosy i meszek. Po zastygnięciu, zdejmuje się preparat, a jednocześnie z nim uwłosienie. Zabieg ten nie jest radykalny.

PANI KRYSTYNA MICHURSKA. Po gorączce popołogowej zaczęły Pani wypadać włosy. Martwi się Pani, ażeby „nie wyłysieć". Poza tem pisze Pani, że jeśli ja Pani podam radę — to zapewne dozna Pani polepszenia. Proszę Pani bardzobym pragnęła, ażeby po zaaplikowaniu środka, który przepiszę, istotnie odczuła Pani polepszenie, ale niezawsze ode mnie zależy proces naprawy. Ufam, że nie wszystko stracone i że istotnie włosy zaczną odrastać. Rp. Pilocarpini hydrochl. 0,50, Spir. vini 66% 80,0, Spir. camphorae 20,0, Oleum ricini 10,0, Glycerini 5,0. Płynem tym naciera się skórę głowy zapomocą pędzla z waty, umaczanego w płynie dwa razy w ciągu dnia zrana i na wieczór. Po upływie tygodnia wcieranie płynem powyższym przerwać — stosując w następnym tygodniu natłuszczania: Rp. Oleum amygd. 10,0, Lanolini 15,0, Vaselini flavi 20,0, T-rae cantharid. 1,0, T-rae rosmar. 5,0, Aquae destill. 30,0. Po upływie dwóch tygodni włosy umyć mydłem rezorcynowo-siarkowym. Powtórzyć kurację. O rezultatach proszę napisać.

SWIATOWID WYCHODZI W KAŻDĄ SOBOTĘ W KRAKOWIE, POZNANIU, WARSZAWIE, LWOWIE I WILNIE.
REDAKCJA I ADMINISTRACJA: Kraków, Wielopole 1.
TELEFONY: 150-60 (centrala), 150-61, 150-62, 150-63, 150-64, 150-65.
Oddział w Warszawie: Krakowskie Przedm. 9, Tel. 208-63 i 234-65.
Numer konta P. K. O. w Krakowie 404.200 — w Warszawie 140.725.

CENA OGŁOSZEŃ:
Strona dzieli się na trzy łamy (szerokość łamu 80 mm.) 1 mm w jednym łamie 1 złoty. Ogłoszenia zamieszczone jako jedyne na stronie (tak zwane „solus") — 1 mm. w jednym łamie 2 złote. Ogłoszenia, zamówione jako jedyne na stronie („solus"), jeżeli ze względów technicznych nie będą mogły być zamieszczone według zlecenia, będą drukowane jako ogłoszenia zwykłe po cenie normalnej.

Prenumerata kwartalna zł. 6.50. Zagranicą zł. 9.50.
Prenumerata miesięczna zł. 2.20. Zagranicą zł. 3.20.
Wydawca i naczelny redaktor: MARJAN DĄBROWSKI
Kierownik literacki i redaktor odpowiedzialny: Dr. JÓZEF FLACH.
Zakłady graficzne „Ilustrowanego Kuryera Codziennego w Krakowie pod zarządem Feliksa Korczyńskiego.

„ŚWIĘCONE“



Obraz, malowany specjalnie dla „Światowida“ przez artystkę-malarkę Bronisławę Rychter-Janowską.